Nr. 357. We Lwowie Czwartek dnia 24. Grudnia 1896 r. Rok XXIX.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego,“ plac Marjacki liczba 6 i 7.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 ct. miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fenigów — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.
Numer kosztuje 6 centów.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Telefon Redakcji 171.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano.

Ogłoszenia przyjmują we Lwowie:
Biuro Administracji „Dziennika Polskiego,“ plac Marjacki l. 6 i 7 i Biuro dzienników Ludwika Plohna ulica Karola Ludwika l. 9.
We Wiedniu: po: pp. Haasenstein & Vogler, (Otto Maas,) M. Dukes, H. Schalek, A. Oppelik's Nachf., Rudolf Mosse i J. Danneberg; w Paryżu: C. Adam 38. rue de Varenne.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 10 centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit).
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po krocie za jeden wiersz 50 ct.
Prywatne korespondencje 12 i nekrologja 20 centów od wiersza.
Drobne ogłoszenia 1½ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po 1 ct. od wyrazu.
Reklamy w rubryce Nadesłane 30 ct. od wiersza.

Wydawcy i właściciele: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański i Mieczysław Schmitt.

✲

W chwili, gdy pierwsza gwiazda zabłyśnie na niebie, na całym obszarze chrześcjańskiej ziemi ozwie się pieśń radości z przyjścia Pana — ale ona nie znajdzie nigdzie tyle oddźwięku, ile w naszych polskich sercach.

Ostatnie dni grudnia, czasy zimowego przesilenia, uważano ongi w mitologicznych pojęciach pogańskich ludów za pierwsze zwycięstwo światła nad ciemnościami, życia nad śmiercią, pierwiastku twórczego nad niszczącym — czyli jednem słowem: słońca i rozbudzającej się wiosny nad nocą i martwą zimą. Pojęcie to dochowało się w całej sile wewnętrznej do dziś z tą różnicą, że święto „kolędy“ przeobraziło się na czysto chrześcjański obrzęd. W naszych kolędach — tak pięknych, tak do serca przemawiających, nie znajduje się nic więcej nad myśl o narodzeniu Chrystusa Pana, który przybraniem postaci ludzkiej na siebie zaczyna nową dla świata epokę.

Ale święto to jest zawsze dla nas świętem tryumfu światła nad ciemnościami, ducha nad materją, myśli nad brutalną siłą. Dla nas ten Chrystus leżący w żłobku, tulący do siebie najbiedniejszych i najnieszczęśliwszych, jest więcej zrozumiały, aniżeli dla innych, którzy nie zaznali goryczy niewoli i prześladowania — toż dla tych ostatnich dzień ten jest tylko dniem radości — dla nas dniem rozmyślań i nadziei.

Spożywając opłatek w gronie najbliższych i najukochańszych, czyż podobna nam zapomnieć, że matka nasza Ojczyzna w grobie?... Czy podobna zapomnieć o tych, których kości bieleją na Sybirze, których wydarto z grona rodzin, ażeby zapełnić nimi odległe gubernje i kazamaty więzień? Nam o tem zapomnieć nie wolno — a gdy słyszymy śpiew: „Pokój ludziom dobrej woli“ — czujemy, że w dwóch odłamach naszej Ojczyzny dla nas tego pokoju niema!

A nie wolno nam zapomnieć i o tych braciach naszych, którzy z braku chleba we własnej Ojczyźnie dążą za góry i oceany i polskim potem i krwią użyźniają nowe ziemie!

Ale w święcie tem i nadzieja nasza! „Bóg się rodzi, moc truchleje“!

Wpatrzeni w ów żłobek kryjący dziecko, które z woli Przedwiecznego przyszło miłością i prawdą zdobyć świat i odkupić ludzkość, czujemy, że nie brutalna siła, ale duch władnie światem, że wszelka myśl i poświęcenie to — broń, której się nic nie oprze.

Ten Chrystus, który z pomocą maluczkich idzie zdobywać państwo Cezarów i na ruinie zbrodniczego gmachu kłamstwa i niewoli buduje święty kościół prawdy i miłości, ten Chrystus — to nasza wiara, nasza otucha!

I my cierpimy pod obuchem przemocy i dla nas przyszedł czas nocy i czas ciemności. Wrogowie nasi tryumfują i mażą nazwisko naszej Ojczyzny na kartach świata — a jednak wymazać go nie zdołają. Zniesiemy jeszcze wiele bolów i wiele prześladowań, ale miejmy tę silną wiarę, że Bóg dał nam ducha, przed którym moc struchleje i że kiedyś z wolnej Ojczyzny naszej rozlegnie się dla świata hasło Boże:

„Pokój ludziom dobrej woli“.

W noc grudniową.

Z CYKLU OBRAZKÓW.

— Są konie z Gajowa?

— Ondzie!

Parobczak w dziurawym kożuszku, siny od mrozu, a uśmiechnięty przyjaźnie, stanął przed pytającą, wskazując ręką na siebie, a potem na sanie kilimkiem przykryte, zaprzężone parą tłustych mierzynów.

— A druga panuńcia? — zaraz spytał. — Pan kazał dwie panienki zabrać z kolei.

— Dwie też powieziesz, mój kochany. I tłumok jest.

Chłopak na wszystko się uśmiechał. Zajechał pod ganek stacji, ułożył pakunek, otulił starannie nogi panienek, wgramolił się na kozieł, parę razy zgrubiałe dłonie „zabił,“ zagarnął lejce, cmoknął na konie i ruszył z kopyta.

Wylecieli w pole równe, płaskie, pokryte marną sośniną, brzózkami i jałowcem. Jak okiem zajrzeć, nie było śladu ludzkiej siedziby.

Mróz był siarczysty, z wiatrem, przejmującym do kości. Nosy panienek, które ledwo widoczne były z pod kapturków i chustek, poczerwieniały jak najdojrzalsze pomidory. Tuliły się jedna do drugiej, odwracały się, jak mogły, od wiatru. Przed niemi krwawo zachodziło zimowe słońce, tonąc powoli w mglistym tumanie śniegu.

— Czy dojedziemy przed nocą? — ozwała się jedna, spoglądając na chłopaka, stojącego na przedzie.

Głowa jego, ledwie okryta czapką, miała od słońca złote kontury. Uszy, kark, szyja, ręce, niczem nie osłonięte, urągały mrozowi.

Obejrzał się ze zwykłym dobrodusznym uśmiechem. Brwi jego, rzęsy, końce włosów były białe od szronu.

— Dojedziem! — odparł. — Pan kazał duchem gnać, żeby na wieczerzę doma być.

— Trzy mile drogi mamy?

— A trzy, gadają ludzie. Do miasteczka *wiorstów* dziesięć, a z miasteczka godzina jazdy. Panuńcie zmarzną, to się u Mendela w karczmie ogrzeją.

— A tobie nie zimno?

Nie! — odparł ze śmiechem.

— W Gajowie służysz?

— Ale! Fornalem, już dziewięć *miesiąców*.

— A jakże się nazywasz?

— Danilko po chrzcie, Huc po ojcach.

Konie biegły raźno. Szron je obielił po same uszy. Parobczak gwizdał na nie, napędzał, chwalił, lub ganił.

— I tobie spieszno na wieczerzę — zauważyła starsza panienka.

— Ta pewnie, że spieszno — odparł. — Cały post odjem od razu. Już ja wąchał w czeladnej, co tam za smaczności będą.

— Cóż będzie? — zapytały panienki, zarażone jego wesołością.

— Będzie *juszka* z grzybami, i kluski z makiem, i słodkie gruszki gotowane. A każdy dostanie całego śledzia i wódki półkwaterek. Pani kazała stół obrusem zasłać, jak w pałacu; a siana tom na dobrą pościel przyniósł, żeby potem każdy koń po kłapciu dostał. Słysz, gniada, i ty gryźć będziesz święte siano, to rwij z kopyta!

Gniada parsknęła, aż ją jakby dymem owiało, a chłopak dalej prawił:

— Potem z kolędą do pałacu przyjdziemy, do panów. Bez zawodu... będzie drugi półkwaterek. A potem na wieś skoczym pohulać!

Śmiał się jak dziecko. Białe jego zęby z pośród posiniałych warg, oczy z pod rzęs migały radośnie, a mróz tymczasem malował się na jego twarzy białemi plamami, szczypał, jak gad, za uszy, dobierał się przez złą odzież do piersi i pleców.

Panienki umilkły. Nosy nawet pochowały, zgarbiły się, znieruchomiały. Zimno przejmowało je do kości; wicher, pomimo futerek, smalił jak ogniem.

Nie widziały już ani drogi, ani okolicy; przymknęły znęczone oczy, trzęsły się chwilami. Zdały swe losy na Danilka i Opatrzność.

Zdawało się im, że jadą strasznie długo, ale bały się wyjrzeć na świat i zgoła nie wiedziały, co się dzieje.

Raptem sanki stanęły.

— Co tam? — spytały, wyzierając.

Przestraszyły się. Wicher już nie górą szedł, ale nizko, jak ostrze kosarza, i rwał mroźny śnieg, i niósł go, i kręcił i siał.

Zrobiło się tak ciemno, że tylko kontur stojącego Danilka widniał, biały, jak bałwan śniegowy.

Gdzieś z boku mgliste świeciło światełko.

— Może panuńcie do Mendela wstąpią i pogrzeją się trochę? — zaproponował uprzejmie.

— To jeszcze nie Gajów?

— Gdzież! Jeszcze godzina drogi.

— Jezus, Marja! A jakże to jechać, kiedy nic nie widać? Zostańmy tutaj do rana. Zginiemy w drodze, zbłądzimy, wilki nas opadną.

— Uchowaj Boże! Toć ja tę drogę znam, jak ścieżkę do swojej chaty! — zaprotestował parobczak. — Ja panienki, jak w biały dzień, powiozę. Dalibóg, trafię! Krzynę się proszę nagrzać i dalej. Niedaleczko do domu, a tam z wieczerzą czekają.

— Kiedy my się boimy. Taka zadymka! straszno!

Ale chłopcu zapachniały widocznie te specjały, których tak bardzo mu się chciało zakosztować, bo się im aż do rąk pochylił.

— Jak Boga kocham, nie straszno — uspokajał. — Toć do Gajowa całkiem blizko. Sośniaczek, grobelka, i ot zaraz pańskie łąki i olszynka. Żebym ślepy był, tobym nie zmylił. Toć ja tą drogą i po pocztę, i po mięso, i po doktora do miasteczka jeżdżę mało nie codzień! Niech ta się panuńcie nie boją. A toż dziś taka wieczerza, a my mamy, jak *niechrysty*, w karczmie siedzieć? Grzech nawet i obraza boska, a przed ludźmi wstyd!

— Danilko, tobie bardziej kluski i śledź w głowie, niż nasze i twoje własne życie! — zawołała jedna z panienek.

— A jak nas wilki opadną? — wtrąciła druga.

— Licha ich mać! Cyganów oni napastują i krawców żydowskich. Nie *słyszno*, by kogo innego.

— No, to jedźmy zresztą! — zdecydowała się starsza.

Ogrzali się chwilę w karczmie i ruszyli, jak się zdawało, bez drogi i śladu.

Zadymka szalała coraz zapalczywiej.

Minęli miasteczko i zapowiedziany sośniaczek. Widząc pewność woźnicy, panienki się uspokoiły.

Wjechali na długą a wązką groblę, usypaną wśród grzęzkich zarośli łozy, olszyny i niebotycznych badylów nigdy niekoszonej trawy.

Wicher wściekły uderzał o nie, zarzucał śniegiem, gwizdał w obnażonych łodygach. W haszczu tym dzikim zdało się jednej z panienek, że coś świeci, jak robaczki świętojańskie w letnie noce.

Mignęło tu, tam i zgasło.

Wtem nagle konie rzuciły się raptownie w bok. Obejrzeli się wszyscy.

Z gęstwiny wysunęła się szara masa i stanęła opodal grobli na lodzie.

— Wilk! — krzyknęły panny dzikim głosem.

Danilko milczał, trzymając mocno chrapiące konie.

Z gąszczów wysunęła się druga szara plama, potem trzecia i czwarta. Skupiły się, zaskomlały jak psy i truchtem poczęły biedz śladem sanek — niedaleko.

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnał się półgłosem Daniło.

— Uciekajmy! — krzyczały panny, prostując się pomimo mrozu, zrzucając z głowy okrycia, oglądając się za siebie.

Wilki się rozdzieliły. Dwa szły jedną stroną drogi, dwa drugą — zrównały się już z sankami. Konie pędziły jak wiatr: wilki dotrzymywały kroku, co czas jakiś nawołując się przeciągłym, złowieszczym skowytem.

Daniłko wiedział, że wilcze nogi wiatr dogonią; wiedział, że do Gajowa jeszcze mila.

Konie prawie niosły, a bestje nie zostawały w tyle — owszem dobiegały sanek.

Jeszcze trochę, a gniadej i siwemu do piersi skoczą, a wtedy... będzie koniec.

— Panuńciu! — zcicha, głucho zwrócił się do starszej panienki.

— Co? — spytała prawie nieprzytomnie.

— Weźcie lejce!

— Co takiego?

— Weźcie lejce. Konie drogę znają, pod ganek was prosto zawiozą. Nie trzeba kierować.

— A ty czemu trzymać nie możesz?

— Ja pójdę na wilki. Zostanę się, to i one się od was odczepią. Dalibóg.

— Co ty gadasz! Co ty robisz!

Porwała go za kożuch, bo już jedną nogą był na ziemi, zsuwając się z sanek.

— Tak po sprawiedliwości — odparł. — Namówił ja was na tę drogę, biedę sprowadził, toć sam naprawić muszę! Weźcie lejce!

Oprzytomniały obie i, nie dbając już o bestje, porwały go i trzymały z sił całych.

— Zwarjowałeś! Nie ruszaj się!... O Boże! dzwonić trzeba!

— Niema dzwonka! — odparł, szamocząc się.

— Światło zapalić.

— Siarczyków nie wziąłem! Taki ja winien, winien! Dalibóg pójdę!

— Nie pójdziesz! Krzycz, hukaj, może się zlękną.

To mu się podobało.

— Aha, ahu! Ahe, ahuuu! — wrzasnął z całych płuc.

— Aha, ahu! — zawtórowały drżące, słabe głosy.

Wilki dobiegały koni — stanęły raptem, odskoczyły w bok.

Potem ochrypli, wyczerpani, zawodzili niesfornie, fałszywie strasznie.

Konie rozhukane niosły, stuliwszy uszy, chrapiąc i wierzgając.

Wilki szły za niemi, ale wolniej, dalej — po łąkach — błyskały zielonawe ich ślepie.

— Boże! ratuj nas! — jęczały panienki.

— Śpiewać, panuńcie, śpiewać! Złe mocy! — zdyszany, rozgorączkowany, krzyknął Daniło.

I chrypiąc, zacinając się, fałszując, jął ryczeć prędzej, niż śpiewać, wyuczoną niegdyś od „dziadźka“ kantyczkę:

(24)

KLEJNOT.

POWIEŚĆ

Marji Rodziewiczównej.

(Ciąg dalszy).

— A ja panu powiadam, że to się skończy. Przyjdą urodzajne lata, inwentarze się powiększą, za żwir wpłynie kapitał i odżyjemy, panie, odetchniemy, i nie jak zbiegi, gdy już umkną za granicę, ale jak porządni robotnicy po znojnym dniu. Na dziś, Bogu dzięki za tę chwilową ulgę, i za te pieniądze własne, a nie pożyczone. Niech pan płaci, co bliższe!

Sokolnicki ręką machnął, ale pomimo to przestał narzekać i rzekł:

— Obiecałem się na to nieznośne polowanie w Głębokiem. Musimy tam być!

Szymon się uśmiechnął radośnie.

— Czyż pana łowy nie cieszą?

— Czyż to łowy! To okazja do zabawy. Zjedzie się pół powiatu, będą jedli, pili, grali w karty, ogadywali nieobecnych i obecnych, zawracali oczy do miljonówki, i postraszą zwierzynę i postrzelą kogo jeszcze, a kilka psów padnie z pewnością. Szkoda mi psiarni!

— Niemiec nadleśny doskonały myśliwy i mnie prosił do pomocy. Jużeśmy objeżdżali ostępy i wie pan, zdaje mi się, że niedźwiedź jest.

— Nie może być! — oczy Sokolnickiego zabłysły.

— Leży w świerkowych wywrotach, za trybem, gdzie niegdyś była smolarnia!

— Toby były dopiero gody. Szymek, a o mnie pamiętajcie, żebym dobre stanowisko miał.

— To się wie. Będzie pan tam, gdzie potrzebny strzelec, co nigdy nie chybia! Jutro wieczorem zabieram naszą psiarnię i strzelców, i nocujemy u Niemca, a pojutrze użyjemy!

— Gdybym niedźwiedzia ubił, tobym Zagrodzkiemu nawet tych koni nie żałował i nawetbym się z panną pogodził. Wiesz, i ona będzie na polowaniu, i jakąś kuzynkę sprowadzili z Austrji na tę uroczystość. Potrzebne tam kobiety! Ani chybi, kogoś postrzelą!

— Już też nie panna Zagrodzka, bo ta strzela doskonale!

— Gdzieżeś widział?

— Wczoraj u Niemca. Była z nami przy objeździe, a potem w leśniczówce próbowała mojej strzelby. O sto kroków trafia kulą w muchę na pniu i postrzelała mi zupełnie czapkę w lot.

— Ta ma pasję do wszystkiego, co niekobiece. A rodzice jak gęsi, co wychowały jastrzębia, gęgają nad nią bezradnie.

— Zuch dziewczyna i niech jej pan nie doganiuje, bo warta i uznania i grzechu. Wesoła, ładna, a zdrowa jak dębczak młody. Pan się śmieje z mego porównania. A no, bom ja syn szarej szlachty, co ceniła zdrowie do pracy, i leśniczy z zawodu, więc mi dęby w głowie!

— Możeś się zakochał?

— Będę bardzo szczęśliwy, jak pan się w niej zakocha.

— To nastąpi w ów dzień, gdy szanowny stryjaszek zapisze majątek na kościół.

— Wszystko się stać może. Tymczasem, co pan mi rozkaże?

— Już ci gdzieś pilno?

— Oj i bardzo. Dziś mam rewizję gajowych, jutro dzień wywozu chrustu i drzewa, a przytem osaczam i ja grubego zwierza w pańskiej knieci, Altera. Czy pan mu sprzedał pszenicę?

— Nie jemu, ale jego szwagrowi.

— Hm! A dużo jej zdano?

— Pięćset pudów.

— Alter sprzedał osiemset do miasteczka! A pan wie, że ekonom wydaje córkę za pisarza?

— Nie może być. Toć się nienawidzą i jeden drugiego ogaduje codziennie.

— Tem bardziej muszę ich mieć na oku! Trzeba będzie zrobić lada dzień rewizję śpichlerza! Ach, te szczury domowe!

Potarł desperacko czuprynę i wyszedł.

Na podwórzu spotkał go ekonom, jakby nań czatował.

— Pan na nas niełaskaw! Nigdy do chaty nie wstąpi! — rzekł uśmiechnięty pochlebnie.

— Alboż dadzą tchnąć! Pan mnie gania jak grabieżnego konia. A te procesy to mnie pół życia kosztują.

— Może teraz choć na chwilę! Zimno i wilgotno. Przetrącimy po kieliszku i zagryziemy wędzonką.

— Dziękuję panu. Tego się nie odmawia.

Poszli tedy na podwórze folwarczne, gdzie w oficynie gnieździli się oficjaliści. Na widok rzadkiego gościa zabiegała się ekonomowa z córkami, z innych mieszkań poczęły wyglądać kobiety.

Zjawił się też zaraz gorzelany i magazynier od wódki. Szymon był ich zmorą, ale nie mogli wierzyć, by prędzej czy później nie wypadł z łask pańskich, lub nie przeszedł do ich kompanji. Więc go zawsze honorowano, głaskano, próbując terenu. Zresztą on wiedział myśli pańskie, więc się można było wiele odeń dowiedzieć.

— A co? Koniki zabrał Zagrodzki? — zagaił ekonom.

— Dzięki Bogu! Będzie grosz w kasie i dla nas — odparł Szymon. — Dobrą cenę dał.

— Szaloną! Słyszę, półtora tysiąca.

— I jeszcze więcej! Jedziemy tam na polowanie pojutrze.

— Oho! może z tego i marjaż wyniknie! — wtrąciła ekonomowa, która w Sokołowie zajmowała posadę klucznicy i gospodyni i bała się małżeństwa dziedzica, jak upiora.

— A cóż! — uśmiechnął się Szymon. — Kawaler jak ptak szczęśliwy, może wybierać. Ale jeśli ta nam spadnie, to będzie dopiero ruch!

— Zła?

— Złość w pannie ukryta pod siedem zamków, dopiero się po ślubie okaże. Ale przecie poznać można, że ta będzie ostra i wścibska!

— O! Jaki też pan Szymon dla panienek niepolityczny! — ujęła się ekonomowa ze śmiechem.

— To tak przez zemstę, że mnie żadna kochać nie chce, bom dziobaty.

— Baje pan Szymon! A wiadomo, że bałamut!

— To plotki. Ja ta jak mnich żyję!

— No, no, wiedzą sąsiedzi, czem kto broi.

Mężczyźni, widząc, że Szymon pozwala żartować, poczęli ostrzej dogadywać. Rozmowa przybrała nastrój przyjacielski, właśnie taki, jaki mieć chciał Łabędzki.

Doskonała starka, zapewne z piwnicy Sokolnickiego, ścierała resztę nieufności i sztywności, humory czyniły się różowe.

— Już to i nasz pan słodki nie jest. Nic trzeba mu złości żoninej! — zawołał ekonom. — Sądny dzień miał wczoraj pisarz o obroki! Szelma jedna, choć dobry chłopak, pomyli się w rachunkach i chce mi fornalkę głodzić! Ni słyszał pan w pałacu o tem?

— Nawet i mowy nie było. Pan się wykrzyczał i zapomniał. Tylko na osuszkę wódczaną narzekał i mówił, że klucz od magazynu do siebie weźmie.

— A i owszem! — zawołał magazynier. — Spadnie mi odpowiedzialność za stare kufy, które cieknąjak rzeszoto. A nie mówił, kiedy to nastąpi?

— Od pierwszego listopada. Nie ciesz się pan zbytnio, nie długo to potrwa. Znudzi się rychło.

— Niech sprobuje, jakie to słodkie. Niech pozna, co to za psia służba. A zresztą, niech potrafi skontrolować! Ot, załóżmy się, u kogo będzie większa osuszka?

I śmiał się, mrugając na gorzelanego, i Szymon śmiał się także, a wściekłość go ogarniała na tych wrogów, sytych chleba pańskiego, rozmyślających tylko o oszustwie i krzywdzie dziedzica.

— I z Alterem pan zadziera! — wtrącił krytycznie ekonom. — I źle się to skończy, bo żyd obrotny, pieniężny, potrzebny dworowi. Po co go drażnić o byle głupstwo! Każdy żyć musi, a mojem zdaniem, w wielkim skarbie wielkie rzeczy trzeba uważać za małe, małe za nic. Kto w drobiazgi wgląda, wielkiego nie zobaczy i ludzi nie utrzyma.

— Święta racja! — potwierdzili inni.

Szymon, który umyślnie tu przyszedł, by ich czujność uśpić, potakiwał także.

— To plotki o Alterze — rzekł. — Pan go lubi, choć krzyczy i parska. Wspominał, że mu nawet smolarnię w dzierżawę odda.

(Ciąg dalszy nastąpi).

A wczora z wieczora, a wczora z wieczora,
Z niebieskiego dwora, z niebieskiego dwora
Przyszła nam nowina...

Wpadli z grobli na pola, na łąki, między olszynkę.

Szalony pęd rzucał sankami. Śnieg z pod kopyt bił jak śrótem.

Chłopak nad końmi pochylony, nieprzytomny, bez czapki, śpiewał resztkami głosu; kobiety, leżąc na spodzie sanek i trzymając się ich konwulsyjnie, pomagały mu, jak mogły.

Aż wreszcie Daniło zachrapał tylko i, czując się oniemiałym, obejrzał się desperacko w stronę strasznego pościgu.

Ale za sankami były już tylko białe, gęste tumany, bezbrzeżna pustka i noc. Ni szarych plam, ni zielonawych skier — nic...

I raptem zmieniona twarz Daniłka zadrgała, skurczyła się i z za zsiniałych warg zabielały zęby.

— A bacz! — wyszeptał bez dźwięku. — Ja taki mówił, że oni cyganów i krawców biorą! Ot, jak posłyszeli, co my chrześcjanie, wzięli i poszli. Licha ich mać!...

Po chwili dodał:

— A ot i doma jesteśmy. W Imię Ojca i Syna!... Wio, gniada, dostaniesz świętego siana. Uh! jak tu zaraz na dziedzińcu olej pachnie i pierogi... Ja taki mówił, co drogi nie zmylę, tylo co panuńcie krzynę się zlękły...

. . . .

Przez całą wieczerzę i pół wieczora opowiadały panienki wujowstwu swą przygodę.

Gdy przed sienią ozwał się dzwonek i skrzypki kolędników, wszyscy, wylegli ich słuchać i zobaczyć Daniłka-bohatera.

Stał na samym froncie. Nie miał nawet czasu się okrzątnąć. Miał na sobie ten sam potargany kożuszek, na nogach sandały słomą wypchane, na twarzy ten sam dziecinny, dobroduszny uśmiech.

Znać tylko było po nim, że misa klusek, druga zupy grzybowej, trzecia gruszek, czwarta pęcaku, cały śledź, pieróg i półkwaterek odrestaurowały go po poście i strachu.

Świeciły mu się oczka małe, błyszczała twarz czerwona, nabrzmiała od mrozu.

Na widok państwa pokłonił się nizko, obejrzał się po towarzyszach i zaintonował:

A wczora z wieczora,
Z niebieskiego dwora
Przyszła nam nowina...

Odśpiewali, kolejno przystępowali do poczęstunku.

— Daniłku — zawołała młoda panienka wesoło, — inaczej śpiewaliśmy na saniach.

— Inaczej, panuńciu? — zapytał.

— Ano, gorzej szło!

— Ktoby tam wilkom szelmom lepiej się starał! — odparł zuchowato.

— Ale co tej kolędy, to chyba nigdy nie zapomnisz?

— I wilki się nauczyły, panuńciu!

Półkwaterek do rąk wziął, panu się do kolan pokłonił:

— Daj Boże doczekać w szczęściu, zdrowiu Nowego Roku; a po Nowym Roku Trzech Króli, a po Trzech Królach daj Boże panu w szczęściu, nam w zdrowiu, za rok kolędy się doczekać!

Wypił, kieliszek odstawił i, wszystkim ręce ucałowawszy, na towarzyszów skinął i na podwórze się cofnął.

W mróz, w śnieżycę, ku wsi kolęda biegła:

Rodzi jedynego,
Boga prawdziwego,
Za wyrokiem boskim
W Betleem żydowskiem!

Aby do końca utrzymać się w prawdzie, musimy wyznać, że Daniłko-bohater był pijany tej nocy, jak każdy pospolity śmiertelnik.

Marja Rodziewiczówna.

U kogo chłop prawdy szukał?

Trochę bajka, trochę prawda.

W pewnej wsi żył sobie chłop, nazywał się Iwan. Miał swoje pole, łąki, woły, całe gospodarstwo duże i zasobne, ale mu wszystko szło jakoś nieosobliwie. Prawdę powiedziawszy, chłop był zadzierzysty, gorzałkę lubił, a jak mu tylko zabrakło pieniędzy, niósł co wpadło w ręce do karczmy. A miał przyjaciela żyda, takiego dobrego człowieka, choć do rany przyłóż, — co to nigdy nie odmówił, — czy ziarno przyniesie, czy jałówkę przyprowadzi — wszystko weźmie. Jak na to poszło, to nawet kurą i jajami nie gardził. Przyjął wszystko pokornie, dobrze, łagodnie — taka już jego natura była uczynna — tylko nie dawał pieniędzy, bo na cóż chłopu pieniądze, ale gorzałkę.

I tak w braterskiej zgodzie żyli ze sobą nie rok i nie dwa; tylko żyd co roku stawał się grubszym i tłuściejszym, a chłop chudszym; żyd bogatszym, a chłop uboższym: od żyda nigdy skarga żadna z ust nie wyszła, a chłop co dnia klął i narzekał na cały świat, niezadowolony ze wszystkiego.

— Niema prawdy na świecie, taj hodi! — powiada.

— Nu, Iwane — mówi żyd — czego wy dzisiaj taki smutny? Napijcie się wódki, to wam smutek jak ręką odejmie.

Posłuchał chłop przyjacielskiej rady, bo czemuż nie posłuchać, jak kto dobrze radzi, wypił kieliszek jeden i drugi, a potem odzywa się:

— Niema już dla mnie tutaj życia! Pójdę prawdy szukać po świecie.

Sprzedał żydowi wszystko, co miał, a sam w świat poszedł.

Zaszedł do sąsiada.

— Jak się macie?

— Dziękuję. Ot sobie.

— A dokąd to pan Bóg prowadzi?

— Idę prawdy szukać.

— Daleka droga — powiada sąsiad — i niepewna. Trzeba jej tam szukać, gdzie się człowiek urodził, pośród tych, z którymi żyje, a nie za górami, za lasami. A czegoż wy chcecie od prawdy?

Chłop się zdziwił, bo szczerze powiedziawszy, o tem nie pomyślał.

— Jakże to tak może być, — ludzie na świecie mają i dostatek i rozum i robią co chcą, a u nas ani rusz. Gospodarstwo marnuje się, do żadnej roboty człowieka nie wołają, nigdzie zarobić nie można, — na górze siedzą Lachy i nie dopuszczają do niczego, a na dole żydy; aby się człowiek obrócił tylko — wszystko z pod ręki wychwycą.

— A komuż sprzedaliście pole i gospodarstwo?

— Komuż, jak nie żydowi! Któż inny kupi?!

— Jużci, że to nieszczęście — powiada sąsiad, — ale dostatek przychodzi z pracą, powaga — z rozumem. Nikt nie woła do wspólnej pracy robotnika hałaśliwego, kłótliwego, zawistnego, rwącego się jak koń w tabunie niewiadomo czego, pocc [illegible]okąd?

Chłop się rozgniewał.

— Taka to wasza prawda! — zawołał — wszystko dla siebie i dla siebie!

Nie kiwnął nawet głową sąsiadowi i poszedł w świat.

— Pójdę do Niemca — pomyślał sobie — Niemiec rozumny; jeżeli sam prawdy nie ma, to przynajmniej drogę do niej wskaże.

Jak pomyślał, tak i zrobił.

Ledwie się pokazał pomiędzy Niemcami, zbiegli się do niego, jak na dziwowisko. Chodzi chłop po mieście, a za nim ludzie, jak za niedźwiedziem kupą. Chłop mówi po swojemu, a Niemiec po swojemu; chłop skarzy się, że w kraju własnym wyżyć nie może, a Niemiec śmieje się jak z tańczącego niedźwiedzia.

Natrafił nareszcie na takiego, z którym się mógł rozmówić.

— Dużo masz pola? — pyta.

— Nie mam nic, bom sprzedał żydowi.

— Pocóżeś sprzedał?

— Bom się w świat wybrał szukać prawdy, której w domu niema.

Niemiec głową pokręcił.

— A umiesz ty czytać?

— Nie.

— Znasz rzemiosło jakie?

— Wszystko potrafię — powiada chłop.

— To źle. Znaczy, że nic nie umiesz. A czegoż ty chcesz?

— Prawdy.

Niemiec rozgniewał się i zaczął chłopa łajać.

— Głupcze jakiś! Ty sam nie wiesz, czego chcesz. Tobie nie prawda, ale rozum i uczciwość potrzebne. Ty jesteś marnotrawca, ciemny, nic nie umiesz, zahonysty; masz pragnienie według twego rozumu i chęci, lecz nie według możności, nie umiesz ich ani ograniczyć, ani do rozsądnych granic sprowadzić. Jesteś człowiekiem niezdatnym do żadnej rozumnej pracy. Każde pragnienie twoje nieziszczone uważasz za krzywdę wyrządzoną ci przez kogoś: stąd jesteś niezadowolony z niczego i podsycasz się własnem niezadowoleniem jak trucizną. Pragniesz tego, czego nie posiadasz, a tego, co masz, ocenić nie potrafisz. Wracaj do domu, nie pij, nie hulaj, ucz się, dzieci ucz zamiast włóczyć się za szukaniem tego, czego nie zgubiłeś.

Chłop zczerwieniał ze złości.

— Przeklęta duszo niemiecka — krzyknie — taka twoja prawda, jaki ty.

Plunął na niego i powędrował dalej.

— Pójdę do Moskala! — zawołał.

Niedługo się namyślał. Zabrał manatków trochę i w drogę ruszył.

Szedł nie dzień i nie dwa, aż przyszedł wreszcie. Przyszedł i pokłonił się grzecznie.

— Daj Boże zdrowie! — powiada.

— Daj Boże i wam — dziękuję. A czego chcecie?

— Prawdy szukam. Szukam po świecie i znaleść jej nie mogę.

— Bo widzisz — trzeba było od razu przyjść do nas; prawda jest u nas. My ją tutaj w poszanowaniu trzymamy.

Chłop uradowany rzecze:

— Chwała Bogu! Z wami przynajmniej po ludzku pogadać można, a Niemcy szelmy to tylko wodę na swój młyn puszczają.

Pogadali wiele-mało, potem wypili po jednej, po drugiej czarce i odrazu zaprzyjaźnili się. Podano jadło — Moskal pchał w chłopa, ile wlazło. Objedli się tak, że o mało im brzuchy nie popękały i układli się spać. Spali dobrze, a pobudziwszy się, przepłukali gardło należycie. I tak żyją sobie. Chłop łaje Lachów i Niemców, a Moskalowi z radości aż się broda trzęsie.

Nakarmił go Moskal, napoił, a potem powiada:

— Nu, wracajże ty teraz do swoich, ta wszystkich „chachłów“ do nas wołaj. Niech idą — miejsca mamy dużo.

Napili się jeszcze, pocałowali, a o prawdzie zapomnieli pogadać.

Chłop taki uradowany, że aż strach.

— A cóż mam swoim powiedzieć, jak przyjdę? — pyta Moskala.

— Powiesz *gałubczik*, że was wszystkich z otwartymi ramionami przyjmiemy, jak braci. Poczesne miejsce wam damy, bo wy przecież nasza krew.

— Bóg zapłać za dobre słowo.

Chłop, który u siebie w domu coś niecoś miarkował, że do [illegible] nie wystarcza tylko kiełbasa i gorzałka, za[illegible]ytał:

— Szkołę dla [illegible] dzieci zbudujecie?

— Jakże, u nas szkoły są... tylko przychodźcie uczyć się.

— A po naszemu będą uczyć?

Moskal brodę pogładził.

— *Niet gałubczik*, u nas po chachłacku nie uczą. Wy nauczycie się takiego języka, jakim sam car mówi.

— A książki po naszemu można drukować?

— Po waszemu — to znaczy po chachłacku?

— A tak.

— *Niet gałubczik*, na co wam ta „chachłaczyna“? U nas to nie w modzie. Te książki, które nam wystarczają i dla was będą dobre.

— A jakże u was ludzie piszą, jeżeli potrzeba do sądu albo co?

— Jakto — jak? *Izwiestnoje dieło — pa naszemu!* Co nasze to i wasze.

— A mogą ludzie zgromadzać się, ot ażeby o swoich sprawach pogadać?

— *Eto pustoje dieło, gałubczik!* Po co zgromadzać się i radzić? U nas car ma na to „czynowników“, ażeby o potrzebach ludzi myśleli? A wszystkie gadania i narady — do niczego. Car wie najlepiej, co komu potrzebne.

— A jeżeli wypadnie posłów do cara posłać? — Czy można z pośród swoich wybierać? To znaczy z „chachłów?“

— Tak jest z „chachłów.“

— *Nu, eto duraczestwo, bratiec!* Po co? Na co? Kto czego chce, to *„praszenije“* napisze po naszemu, aby car zrozumiał... ale zgromadzać się, aby tylko *„garłanit“* — *nielzia!* Na to, ażeby coś dobrego zrobić, car nie potrzebuje z chachłami się radzić — on ma ministrów.

Słuchał chłop, słuchał, a potem pyta:

— A z prawdą, jakże u was?

— Jest. Mamy swoją własną. Chodźcie tylko do nas.

Chłop poskrobał się z tyłu głowy i powiada:

— Kiedy wasza prawda pohano pachnie.

— Ale dobra.

— No, to spożywajcie ją na zdrowie sami.

Czmychnął chłop od Moskala, aż się zakurzyło i tylko obracał się, czy prawda za nim nie goni.

Wrócił szczęśliwie do domu. Może teraz zmądrzeje.

Fr. Rawita.

OSTATNI KAPRAL.

Był kapralem — na swych barkach
Nosił wiele lat..
Miał szablicę — tę na karkach
Wrogów ostrzem kładł.
Pierś mu zdobił krzyż żelazny,
Nogę urwał strzał
Często ludziom mawiał: „Błazny!“
Ano — prawo miał..

Półwiekowy stróż Ojczyzny,
Dziś jej chwały duch —
Skroń mu okrył szron siwizny,
Jak gołębi puch;
Nie osłabił czas w nim męztwa
Mimo krwawych prób
Słyszał wielki krzyk zwycięztwa,
Widział wielki grób.

Raz szedł siłą wspomnień gnany.
Hen — do wolskich pól.
Gdzie dom Boży jest zorany
Od moskiewskich kul,
Kędy władca pół Europy
Setką armat grzmiał
Krocie pędził na okopy,
Trwożąc męką ciał.

Zatrzymał się żołnierz stary.
Gdzie świątyni mur
Obcych grobów widzi mary
Wyciągnięte w sznur
Tu, gdzie gnały orły chyże,
Polska lała krew:
Prawosławne stoją krzyże,
Brzmi moskiewski śpiew.

Przeleciały wiatru fale —
Z niemi wionął szmer:
„Czy ty patrzysz, jenerale,
Z tamtych, górnych sfer?
Czy się Bogu duch nie skarży
Twój żelazny ten?
Czy się tobie dziś nie marzy
Jakiś straszny sen?!“

Nad okopy krwawe Woli
Podniósł księżyc twarz
Wysrebrzył się liść topoli,
Nie wstał kapral nasz
Tylko postać się złamała,
Usunęła w kąt...
Głos podsłyszał jenerała:
— „Baczność! formuj front!!“

K. G.

Zastanów się Hanka!...

Hen, wysoko na niebie, iskrzyły się gwiazdy i z radością spoglądały na ziemię, pełną tej nocy szczęścia i wesela. A noc była widna i cicha, mróz tylko brał coraz silniejszy, aż śnieg skrzypiał pod nogami. Po nad strzechami dym z kominów równo płynął ku górze, w oknach błyszczały światła, po chatach gwarzono i zawodzono kolędy. Cała wieś brzmiała od głosów ludzkich i śpiewu, a psy u wrót poszczekiwały, nawołując się wzajemnie...

U starej Marcychy, w chacie co stała tuż pod lasem na samym końcu wioski, zapadła po odśpiewaniu pierwszej kolędy chwilowa cisza. Nic do śpiewu było jakoś kobietom, starej Marcysze i córce jej Hance, a siwy dziad podróżny, siedzący na przypiecku, do kolędowania nie przynaglał. Oprócz tych trojga, nikogo zresztą w izbie nie było, tylko pies Burek, co wpuszczony od święta do chaty, leżał pode drzwiami, a podjadłszy, ogonem wymachiwał.

Dziad był gościem przypadkowym, bo zaszedłszy nad wieczorem, sam się na wigilję zaprosił; kobiety zaś rade go gościły, raz że w swej samotności mile twarz każdą widziały, a powtóre, że stary Jakób (tak się ów dziad nazywał), był wszędzie, gdzie tylko zaszedł, gościem pożądanym.

Na dziesięć mil wokoło, nie było dziecka, któreby go nie znało i na odwrót, on znał każdego w swej okolicy. Wiedział też zawsze, co i jak do kogo przemówić, wiedział co komu dolega, a co go cieszy, myśli niemal ludzkie zgadywał. Znał się na wszystkiem, różne uparte choroby leczyć umiał, za dobre słowo i kawałek chleba każdemu chętnie — byle w rzeczy uczciwej, pomagał. Lubieli go też i szanowali wszyscy, a jeśli ktoś miał wielkie zmartwienie lub kłopot, z którym sobie poradzić nie umiał, to o trzy mile po starego Jakóba posyłał, on na wszystko w głowie swej sposób znalazł.

Ten to dziad siedział po wieczerzy w chacie Marcychy na przypiecku i ukończywszy kolędę, z pod oka to na Hankę, to w szyby okienka spoglądał, medytując.

Marcycha wstała i zakrzątnęła się koło statków, Hanka zaś siedziała nieruchoma na ławie, oczy w ziemię wlepiwszy. Korciło ją o jedną rzecz zapytać dziada, lecz wstyd ją trzymał za gardło. Co prawda, od dwóch niedziel wstydziła się komukolwiek w oczy spojrzeć, bo sama z siebie nie była kontenta. Od czasu jak męża i gospodarstwo rzuciwszy, wróciła do matki, sumienie nie dawało jej spokoju. Czuła sama, że postąpiła wbrew rozumowi i sercu, bo rozum porzucać nie kazał, nie było o co, a serce, aż piszczało za Bartkiem. Ale w naturze swej miała upartość, Bartek zaś, choć chłop dobry, że do rany przyłożyć, porywczy był trochę i do sprzeczki pochopny. Szukał jej — gdy był zły czego — bez przyczyny, ale gdy pierwsza złość minęła, sam tego żałował. Hanka znowu była ambitna i o byle co burczyć na się nie dała. Stało się więc, że gdy w trzy miesiące po ślubie Bartek wyłajał ją raz bez powodu, a w tydzień później to samo powtórzył, rzekła do niego:

— Słuchaj Bartek, ja się poniewierać nie pozwolę. Jeżeli jeszcze raz na mnie bez słuszności napadniesz, to jak Bóg na niebie, ucieknę do matki i więcej do ciebie nie wrócę; ty wiesz, że co ja powiem, dotrzymam...

Ale Bartek śmiał się tylko, nie wierząc. Ten śmiech jego podjudził jeszcze Hankę, więc gdy w czas jakiś dla błahego powodu, a właściwie dla tego, że zły wrócił do domu, ofuknął się na nią i krzyknął, ona, słowa mu nie rzekłszy, wyszła jak była z chaty i do matki na drugą wieś poleciała. W godzinę po niej, przyjechał wyrostek z końmi przez męża wysłany, lecz ona go odesłała, powiedziawszy, że wracać nie myśli. W dwa dni przyjechał znowu ten sam wyrostek i znowu z niczem odjechał. Wtedy Bartek się też zawziął, jako że nie czuł zbyt wielkiego ze swej strony przewinienia. Źle mu było samemu, bo nijak chłopu bez baby, ale już więcej po Hankę nie przysyłał. Ona zaś trwała w swej upartości, choć ukradkiem przed matką po kątach płakała i chmurna jak noc chodziła, bo i jakże babie bez chłopa!... Minęło tak dwa tygodnie, nadeszły święta, weselił się cały naród chrześcjański, tylko w chacie Marcychy nie było wesoło...

Z początku, gdy Hanka wchodzącego Jakóba ujrzała, zatrzepotało w niej serce, bo pomyślała, że jej może jakąś wiadomość od męża przynosi. Wszakże był człek mądry, wiedział z pewnością co zaszło, bo o czem ludzie jeszcze nie wiedzieli, on zawsze naprzód zbadał już do gruntu, a przytem, nie pierwszyzna mu to była spory nietylko między małżeństwem, ale i między obcymi łagodzić.

Lecz stary Jakób, pary z gęby o Bartku nie puścił, choć bez wieczór o różnych rzeczach prawił; wieczerzę zjadł, Bogu i gospodyni za nią podziękował, kolędę ładną zaśpiewał, a potem, na przypiecku siadł i milczał.

Hanka, wstrzymać się nie mogąc, już, już na języku miała, aby go o Kozią Wólkę i męża zapytać, gdy wtem, szyba w okienku dziwnie zabrzękła, jakby kto po niej palcem posunął.

Spojrzeli się wszyscy, a Marcycha, że lękliwa nieco była, „Wszelki duch!“... zakrzykła.

— To nic — uspokoił dziad kobiety — pewnikiem ptak jakiś nocny przeleciał i skrzydłem trącił... Niema na co zważać!... Ot — dodał po chwili — jeżeli chcecie, to zanim na pasterkę zadzwonią, bajkę wam jaką opowiem, bo do kolędy moje gardło stare już niezdatne, a i wam jakoś dziś nie do śpiewu...

Stary Jakób słynął ze swoich bajek, które nader misternie wywodzić umiał, więc Marcycha z ochotą się zgodziła i słuchać usiadła, a Hanka, choć jej co innego było na myśli, przez grzeczność też udała, że słucha.

Dziad odchrząknął, brodę pogładził, ku okienku raz jeszcze spojrzał i tak zaczął:

— Dawno już temu, dawno, jeszcze jak Pan Jezus chodził po świecie, żyła we wsi Suchodołach jedna młoda kobieta, której na imię było Hanka...

— Hanka?

— Tak jest, miała właśnie to samo co i wy imię... Była to niezła kobiecina. I pobożna i uczciwa, jedną tylko miała przywarę, była nad miarę uparta, a stąd z mężem, również niezłym człowiekiem tylko trochę porywczym, do zgody nigdy przyjść nie mogła...

Hanka pilnie patrzeć poczęła na dziada, nie wiedząc, czy naprawdę bajkę opowiada, czy też o niej samej mówi.

Ale dziad tak prawił dalej:

— Idzie sobie tedy raz Pan Jezus miłosierny drogą bez pole i widzi, naprzeciw niego bieży kobieta, młoda, urodziwa, ale z włosem rozwianym i gniewem w oczach. Pan Jezus spojrzy na nią i skinął, aby stanęła. „Dokąd to tak lecisz, Hanka? — pyta ją potem, bo była to właśnie ta kobieta uparta, o której mówiłem. „„Uciekam od męża““ odpowie ona Panu Jezusowi, „„nie mogę z nim żyć dłużej, bo zły i krzyczy na mnie bez przyczyny““... „Mimo to źle robisz!“ mówi Pan Jezus „wszak ślubowałaś przecie przed ołtarzem mężowi“... „„A ślubowałam““... „Więc zastanów się Hanka, przysięgę chcesz złamać?“ A ona na to: „„Bo wytrzymać nie mogę““... Spojrzy znowu na nią Pan Jezus, spokojnie, bez gniewu, jako pasterz patrzy na owieczkę zbłąkaną, a potem rzecze: „Pójdź za mną Hanka, coś ci pokażę, czegoś jeszcze nie widziała“...

— A taż Hanka nie poznała Pana Jezusa, że tak śmiało z Nim rozmawiała? — przerwała bajkę Marcycha.

— Nie poznała — odpowiedział dziad — bo gniew ją oślepił, a gniewem oślepieni nikogo ani niczego, nawet prawdy, jak słonko jasnej nie poznają... Poszła tedy owa Hanka za Panem Jezusem... Szli przez pola, przez łąki, przez dąbrowy, aż zaszli hen, do wielkiej bramy żelaznej, na siedm zamków zamkniętej. Ale Pan Jezus skinął tylko ręką, brama się sama otwarła i weszli przez nią niby do piwnicy jakiejś pod ziemią, ale tak wielkiej, że jej końca oczy ludzkie dojrzeć nie mogły. „Popatrz-że teraz w górę, Hanka“, — rzecze Pan Jezus, gdy stanęli na dole — „popatrz i mów co widzisz“... Hanka spojrzy, aż tu nad nią, same korzenie ze sklepienia owej piwnicy wystają... I duże, i małe, i krzywe, i proste, i robaczliwe, i zdrowe, i pojedyńcze, i po dwa razem ze sobą splątane... „Cóż widzisz?“ pyta Pan Jezus. „„A cóż, same korzenie od drzew, które zapewne tam w górze gdzieś rosną““ — odpowie Hanka. „A czy wiesz ty, co te korzenie oznaczają?“ „„Nie, nie wiem““... „Widzisz, to są korzenie ludzkiego życia. Ile ludzi na świecie, tyle tutaj korzeni, a jak kto żyje na świecie, tak jego korzeń tutaj wygląda“... „„A cóż znaczy, że jedne korzenie rosną sobie pojedyńczo, swobodne, a drugie parami są splątane ze sobą?““... „To tak, jak i na ziemi... Parobek, albo dziewka, to życie pojedyńcze, a pobierze się z nich dwoje, i to korzenie się ich tu splątają, bo to już życie podwójne, a wspólne do śmierci... Na ziemi, mogą się ludzie rozejść z sobą, lecz tu korzenie, ich pozostają z sobą, dalej związane, bo gdy Pan Bóg uświęcił małżeństwo, to nie na to, aby je ludzie samowolnie zrywali! A złączą się dwie dusze ze sobą, to już muszą do siebie należeć na wieki, bo jedna za drugą bierze odpowiedzialność przed Bogiem. Zrobi mąż żonie krzywdę, to ona przecierpi, a on odpokutuje; zrobi ona jemu krzywdę, to on przecierpi, a ona odpokutuje, bo ani smutku, ani wesela rozdzielić już nie mogą, jako i te korzenie śmierć chyba jedna rozplącze... I popatrz tylko Hanka: jeden z nich nadpsuty, a już i drugi gnić zaczyna... do jednego dobrał się robak i toczy go, a na drugim ślady z tego toczenia zostają... Popatrz na to i, zastanów się, Hanka!“... Tak mówił Pan Jezus, a Hanka, patrzy na korzenie, patrzy, zastanawia się, wreszcie rzecze...

Gwałtowne szczekanie Burka nie dało dokończyć dziadowi. Pies rzucił się do drzwi i warczał, jakby za niemi obcego zwietrzył.

Zerwała się Marcycha z ławy przestraszona, lecz Hanka, co z ogniem na twarzy słów dziada słuchała, nie uważała na psa nawet.

— Mówcie dziadu, co owa Hanka rzekła Panu Jezusowi?

— A wybyście co rzekli? — zapytał dziad zamiast odpowiedzi. — Zastanów się Hanka!...

Patrzył na nią z pod oka, a równocześnie ku drzwiom zezował.

Hanka podeszła aż ku niemu.

— Powiedźcie Jakóbie — rzekła — wszakto Bartek przysłał was do mnie z tą bajką?

— A gdyby tak, to co?... — odparł dziad, w oczy jej zazierając.

Hanka oczy spuściła, niepewna, i milczała...

Wtem, z trzaskiem otworzyły się drzwi i chłop młody, dorodny stanął na progu.

— Ej, Hanka! — zawołał wesoło — czyż cię jeszcze przekora nie opuściła? Ja od godziny to pod oknem, to pod drzwiami wyczekuję, dziad mówi jak z książki, a ty się jeszcze namyślasz?... Ej Hanka, toć związaniśmy do śmierci, jak te korzenie, po co ma nas złość jak robak toczyć!... Dyć dziś wigilja, święto takie, a myśmy się i opłatkiem nawet z sobą nie przełamali... Ej Hanka, dość tego!...

I śmiejąc się, wyciągnął do niej ramiona, a ona przypadła mu zaraz do piersi i szlochać poczęła.

— Już cię więcej nie porzucę Bartku, nigdy już nie porzucę! — zawołała potem, łzy ocierając. — Gdy jedno za drugiego odpowiada przed Bogiem, to i ścierpieć czasem trzeba coś razem, jak... jak te korzenie, Bartku!...

W tejże chwili, we wsi na pasterkę zadzwoniono, więc stary Jakób ochoczo porwał się z przypiecka i zakrzyknął aż szyby w oknie zadźwięczały:

— Ot tak, to rozumiem!... Hej kolęda, kolęda!...

Izydor Kuncewicz.

BANITA.

Chatę mi własną opuścić kazano
I zagon pracy mojej zlany potem.
Za chleb — kamieniem... za krew moją — błotem
Rzucono w piersi z niezastygłą raną —
W te same piersi, które krzyż żelazny
Zdobi za męstwo okazane w boju!
A dziś... w nagrodę nie dają spokoju
I precz iść każą!...

Mówią, że kogo Bóg skarać chce, zsyła
Bielmo na oczy i rozum odbiera...
Chyba w tych słowach świeci prawda szczera,
Bo nie w znęcaniu się narodu siła,
Bo leżącego bić — to hańba sroga,
Której nie skryją laury zwycięstwa!
Czyż siepacz przez to daje dowód męstwa,
Że łży ofiarę?... Więc nie tędy droga!
Bo na tej drodze w źwierciadlanej fali,
Co się historją wszechnarodów zowie,
Kiedyś nareszcie spostrzegą wrogowie.
Że chociaż silni, są jednak... tak mali!

Próżnom rozbroić chciał ich okiem łzawem,
Przeciw bezprawiu — próżnom wołał *veto!*
Krzyk mój bezsilny był tylko podnietą
Dla tych, co siłę uznają przed prawem.

Więc gdy nadeszła wygnania godzina,
Zabrałem swoje rodzinne penaty
I raz ostatni od progu mej chaty
Powiodłem z sobą najstarszego syna
Tam, kędy krzyże na mogiłach stoją,
I gdzie pradziadów spoczywają kości —
I rozpłakałem się z wielkiej żałości
Nad krzywdą moją i nad dolą moją.

„Niech cię mój synu, ta łza nie przestrasza,
Gość ten dziś często wypływa na lice,
Żeśmy odwieczni tej ziemi dziedzice,
Próżno wołamy, że to ziemia nasza.
Weź garść tej ziemi i pilnuj nieboże
Jako relikwji zabranej z ołtarza,
A gdy cię kiedy opęta moc wraża
I na zdradzieckie zawiedzie bezdroże,
Przyłóż tę ziemię do twojego serca,
A jeśli ono silniej nie zabije,
Pod stryk hańbiący oddaj lepiej szyję,
Boś już nie syn jej, ale przeniewierca!
A gdyby kiedy bezczelność krzyżacka
Zaprzeczyć chciała, że to gniazdo nasze,
Ty synu, orle tego gniazda ptaszę,
Swą krwią im dowiedź, że to ziemia lacka —
I tą relikwją, co pierś twoją grzeje,
Rzuć wrogom w oczy — a każdy proch powie,
Że tu lechiccy mieszkali ojcowie,
Że tu szablami pisali swe dzieje!...“

. . . .

Poszliśmy — i tam, gdzie rozstajne drogi
W przeciwne strony wiodą w świat szeroki,
Stałem niepewny, gdzie skierować kroki —
I gdzie mnie druhy czekają — gdzie wrogi...

Lecz próżno z niebios czekałem natchnienia!
Czas cudów minął... Zniknęli prorocy...
Wrócić tu trzeba, — lecz o własnej mocy!
Rodzinna ziemio moja... do widzenia!...

X. Y. Z.

Straszna wigilja.

(Wspomnienie).

We trzech wracaliśmy z miasta do domu po sutej wieczerzy wigilijnej. Rozbawieni i rozśpiewani kończyliśmy po drodze wesołe pastorałki, nie krępowani żadnymi względami wobec mieszkańców, ucztujących jeszcze mimo późnej nocy. Z okien oświetlonych dolatywały na ulicę dźwięki pobożnej lub światowej pieśni, to i dlaczegoż my mielibyśmy być cicho?

Tak znaleźliśmy się zdala od śródmieścia. Noc była pogodna i mroźna, choć śniegu nie było; firmament nieba lśnił się gwiazdami i cisza była na ziemi, jakby pokój Boży spływał na nią po promieniach gwiazd.

Wesoły nasz towarzysz Jasiek, szczególniej rozmarzony, przypomniał sobie jeszcze jedną skoczną kolędę i zaintonował pełną piersią:

„Bracia patrzcie jeno, jak niebo goreje!“

Tylko co chcieliśmy mu zawtórować, gdy podniósłszy oczy w górę, spostrzegliśmy przed sobą, jakby na potwierdzenie słów kolędy, jaskrawą łunę na niebie, rosnącą szybko z każdą sekundą.

Śpiew zamarł nam na ustach i w milczeniu spojrzeliśmy po sobie, sądząc zrazu, że mamy do czynienia ze złudzeniem zmysłów.

Nic nie przerywało ciszy dokoła panującej; po chwili dopiero usłyszeliśmy daleko poza sobą, lecz w kierunku jak szliśmy, sygnał trąbki pożarnej. Odgłos ten objawił nam rzeczywistość. Tak! to pożar! Ale gdzie? Juścić przed nami i to prawdopodobnie niedaleko.

Tymczasem tabor pożarny zrównał się z nami i przejechał koło nas, a za nim długi szereg dorożek i długi również szereg pieszych ciekawskich, biegnących do ognia.

Przyspieszyliśmy i my także kroku, dążąc za drugimi i doszliśmy tak aż do rogatek, gdzie oznajmiono nam, że pali się znacznie dalej w pobliskiej wsi za lasem.

Tabor ogniowy i cała masa żądnych wrażeń uznała za stosowne wrócić się do miasta; my zaś, nie mając nic lepszego do roboty, uchwaliliśmy po krótkiej naradzie maszerować aż do miejsca pożaru. Przewodnik był nam niepotrzebny, bo jasna łuna oświetlała okolicę, tak, że czytać niemal przy tem świetle można było. W imię Boże tedy ruszyliśmy...

Po twardej, zamarzniętej drodze pochód szedł raźno i po upływie niespełna godziny znaleźliśmy się na miejscu katastrofy.

Przed nami stał w płomieniach dwór dzierżawiony przez żyda, a ogień podsycany wichrem grudniowym szerzył się stąd na wieś, gdzie wzdłuż ulicy stojące domy włościańskie zapalały się jeden po drugim.

Wieś była polska i niszczący żywioł zastał mieszkańców włości przy skromnej uczcie wigilijnej. — Właśnie dzwonek kościelny począł zwoływać wiernych na tradycyjną pasterkę o północy, gdy za chwilę ustąpić musiał dźwięk jego melodyjny ponuremu tonowi bicia na gwałt.

Co żyło, wybiegało z chat, ratując się przed pożogą, ale nadaremne były usiłowania mieszkańców. Święta noc nie przyniosła pożądanego spokoju ludziom dobrej woli i jeden po drugim, załamując ręce, patrzał w syczące płomienie, niszczące za jednym wiatru podmuchem owoc pracy całego życia.

Z podniesionymi w górę kołnierzami paltotów, aby się od lecących z obu stron iskier zasłonić, weszliśmy w płonącą ulicę z zamiarem udzielenia pomocy pogorzelcom, gdzieby tego zachodziła potrzeba; przeważnie jednak kończyło się na dobrych chęciach, ratunek wszelki bowiem stawał się niemożliwym dla braku przystępu.

Już wszystkie domy po obu stronach aż do końca ulicy stały w ogniu; te, które prędzej palić się zaczęły, przedstawiały już tylko kupę zgliszcz, sypiących iskrami, w innych przepalały się pułapy i waliły się z trzaskiem do wnętrza.

Jeden z domów przedstawiał wśród tego ciekawy widok. Paliła się jedna ze ścian chruścianych, trzy inne zaś stały jeszcze nienaruszone, wiatr bowiem dął z innej strony. Mieliśmy przed sobą niby scenę teatru, którego proscenium tworzyła paląca się ściana, zaś dekorację tylną i boczną, wnętrzne chaty. Jasno w niej było, sprzęty stały nienaruszone, a jako kontrast z panującem dokoła zniszczeniem stały na kominie dwie pełne misy nagotowanych świeżo pierogów i donica z kutią.

Obraz ten przykuł nas na chwilę do miejsca. Figlarny Władek, niepoprawny żarłok, na widok tych specjałów przypomniał sobie nagle, że od dwóch godzin nic w ustach nie miał i objawił niekłamaną chęć skosztowania wiejskich smakołyków.

Ale jakże się do nich dostać przez płomienie? — bo aby wejść do wnętrza, trzeba było przeskoczyć przez przepaloną ścianę.

Ba! — wejść, to nic, ale jak wyjść? Oto pytanie!

Ale głód Władka silniejszym był nad skrupuły. Zdecydowany na wszystko, zdjął z siebie palto i rzuciwszy mi je na ramię, odsadził się i wskoczył do środka.

Struchleliśmy, bo w tejże chwili wiatr zadął z przeciwnej strony i rzucił nam w oczy snopem iskier i dymu od płonącej chaty, a ogień objął w okamgnieniu pułap i drugą ścianę.

Straciliśmy Władka z oczu na chwilę, a gdy wiatr rozwiał dymy, ujrzeliśmy odważnego chłopaka, jak niby szatan z czeluści przeskoczył płonące podwaliny i upadł przy naszych nogach, a z rąk jego potoczyła się po ziemi...

Sądzicie, że miska z pierogami, która była celem jego wyprawy, godnej śpiewaka heroicznej epopei?

Nie, nie była to miska z pierogami ani makutra z kutią, ale dziecina mała owinięta w poduszki, która w chwili, gdy ogień niszczący obejmował domostwo, spała sobie spokojnie pod opieką niebios na przypiecku.

Uścisk serdeczny od nas był podzięką Władkowi za jego czyn bohaterski, a za chwilę ujrzeliśmy przed sobą biegnącą z rozwianym włosem kobietę, młodą matkę dziecięcia, która nie wiedząc o tak cudownem uratowaniu maleństwa, chciała się rzucić za niem w płomienie.

Zatrzymaliśmy ją i zwrócili jej skarb, który tuliła do serca, płacząc i całując ręce nasze naprzemian.

Służyła ona w palącym się dworze i teraz dopiero zdołała się przez zgliszcza dostać do domu, gdzie zostawiła dziecię ukochane na boskiej opiece.

Na wschodzie jutrzenka różowiła niebiosa, kiedy zabraliśmy się z powrotem do domu. Ze zgliszcz podnosiły się tylko ciężkie dymy, a mieszkańcy wioski witali dzień Bożego Narodzenia z rozpaczą w sercu i łzą w oku.

Szliśmy lasem smutni i zamiast skocznej, wesołej pastorałki, nuciliśmy uroczystą pieśń.

„Bóg się rodzi, moc truchleje,
„Pan niebiosów obnażony,
„Ogień krzepnie, blask ciemnieje...“

Adam Krajewski.

W zimową noc.

Gwiazd na niebie mirjady
Świecą, drgają tak wabiąco.
Księżyc patrzy łzawy, blady
Na sierotkę biedną, drżącą.
Co przez pole biegnie żywo...
Któż odgadnie gdzie i po co?
Dola małej nieszczęśliwa!
Łezki w oczach jej migocą.
Rączki z zimna już skostniały.
Mrozem przeszła jej sukienka.
Nóżki śnieg otula biały.
Ona biegnie... sieroteńka.

A wśród pola, pośród śniegu
Jakieś góry... to kurhany
W niemym stoją tam szeregu.
A na każdym krzyż drewniany,
A pod krzyżem grób rycerzy
Śpią tam może już od wieka!
Sieroteńka do nich bieży
I wyciąga już zdaleka
Rączki ku nim — jakby chciała
W swe objęcia wziąć kurhany
W nich... ha!... może biedna mała
Ma sen szczęścia pogrzebany.

I przybiegła i rączęty
Krzyż objęła na kurhanie,
Z ócz jej trysnął zdrój łez święty
Z piersi ciche wyszło łkanie:
— „Matuś moja, czemu ciebie
Nie mam dzisiaj już przy sobie?
Gdzie ty jesteś?... Czy ty w niebie
Bogu służysz ku ozdobie?
Matuś moja! Tak mi smutno,
Tak mi ciężko jednej. samej.
Taką dolę mam okrutną,
A zawarte szczęścia bramy...“

Rączki dziecka krzyż puściły.
Sieroteńka ciężko wzdycha.
Nadsłuchuje... a z mogiły
Jakaś piosnka płynie cicha.
Jak melodji rajskiej dźwięki.
Tak się w akord wiążą tony...
Ach! dla biednej sieroteńki
Toż to życia sen miniony.
Tak jej błogo... słucha... słucha...
Nic z tej pieśni stracić nie chce,
Bo ta pieśń tak poi ducha
I tak w sercu mile łechce.

Toż to matka jej kochana
Cuda... dziwy opowiada!
Sieroteńka zasłuchana
Coraz więcej biała, blada...
Zapomina o swej doli,
O krzyż biedna wspiera czoło.
A tam w górze gdzieś powoli
Orzeł biały toczy koło...
Milkną zwolna pieśni tony,
Milknie oddech u sieroty...
Duch uleciał upojony,
Że choć w pieśni miał sen złoty.

A. P...

Nadzieja i Rozum.

(Bajka ludowa).

Rozum oskarżył raz przed Bogiem Nadzieję.

Bóg bardzo się zmartwił, gdyż lubił tę ładną, dobrotliwą trzpiotkę, którą stworzył pewnego wiosennego poranku, gdy świat cały w swym majowym rozkwicie tak prześlicznie wyglądał, ku swemu i ludzkości zadowoleniu. Było to właśnie wkrótce potem, gdy na ziemi rozpościerać zaczęła swe panowanie Rozpacz.

Nie lubił znów Bóg Rozpaczy. Powstała ona pewnego zimowego wieczoru, wśród ryku wichru mroźnego, wśród śnieżnej zamieci — powstała bez woli i rozkazu Boga, tak jakoś sama przez się...

Lecz Bóg najsprawiedliwszy nie mógł zasłonić uszu na skargi Rozumu; kazał mu więc opowiedzieć zbrodnie Nadziei. Rozum zaczął opowiadać, a gdy opowiadanie rozpoczął, trudno go już było zmusić do milczenia.

— „Jest to obrzydliwy trzpiot, hipokryta i kłamca — wołał — przymila się i schlebia ludziom, czepia się ich i bawi się przez chwilkę, by ich wnet opuścić, skoro tylko niedola nadchodzi, gdy Nędza do mieszkań zagląda. Nierozsądną swą szczebiotliwością spędza sen z oczu Tęsknoty, a co najgorsze — zabrania ludziom mnie słuchać; wszędzie mnie za drzwi wypraszają.“

Nie można ostatecznie tego za złe brać ludziom, pomyślał Bóg, że nie lubią zdrowego Rozumu; bo doprawdy nie przypominam sobie, czy jest gdzie wśród całego obszaru stworzenia mniej przyjemny chłopiec. Zamiast zwykłych dwojga oczu pod czołem, miał ich trzy pary naokoło głowy, tak że równocześnie mógł patrzeć na wszystkie strony, a ponieważ oczu nigdy nie przymykał, ba nawet nie mrugał niemi, więc niepodobna było wytrzymać jego spojrzenia! Zamiast serca, nosił w piersi przezornie kawałek lodu. Tej to niezwykłej okoliczności zapewne należy przypisać, że wyglądał nadzwyczaj blado i bezkrwisto, a rysy twarzy jego były nader ostre. Głos posiadał ostry i krzykliwy; im dłużej zaś mówił, tem przeraźliwiej skrzeczał.

Ponieważ ciągle i ciągle trajkotał, dobremu Bogu było tego za wiele. „Dość“ — zawołał zasłoniwszy sobie oczy — „sprowadź mi tu Nadzieję, aby mogła się bronić i odpowiadać na twe zarzuty. Jeżeli w istocie powiększa ludzką niedolę, sprowadza nędzę, jak twierdzisz, to ją zabiorę z ziemi i pozostawię na zawsze tutaj w raju.“

Uradowany Rozum udał się natychmiast w drogę. U progu zwrócił się raz jeszcze i rzekł: „Rozgniewałem cię, Wszechmocny Panie, długą mową, ale ludzie tak rzadko pozwalają mi przyjść do słowa, że skoro mi się raz zdarzy sposobność wygadania się, to trudno mi doprawdy usta zamknąć.“ „Pamiętaj, abyś wrócił“ — rzekł dobry Bóg — a gdy Rozum już wyszedł, szeptał do siebie: „Zaprawdę musiałem tego chłopca chyba w gniewie stworzyć.“

Tymczasem Rozum był już na ziemi i gorliwie szukał Nadziei. Nie łatwe to było dlań zadanie. Myśl jego biegła prosto, jakże więc mógł odgadnąć, dokąd zawiodły oskarżoną kapryśne i niestałe taneczne skoki. Długo się męczył napróżno, nareszcie zabrakło cierpliwości i zawołał: „Czyż nikt mi nie pomoże wyszukać i ująć tego trzpiota?“ Zaledwie to wymówił, stała już obok niego wysoka postać. Wzrok miała dziwnie straszny i przenikliwy, a trupio blade oblicze. Na około skroni owijał się wianek, spleciony ze zwykłych, szronem posypanych kwiatów. Błyszczący od szronu biały strój otulał jej wysmukłą postać, a w każdej ręce trzymała mocno ściśnięte płonące serce, jakby chciała stłumić ten ogień. Była to Rozpacz. „Chodź — rzekła do Rozumu — pomogę ci odszukać tę fałszywą. Jest ona moim nieśmiertelnym wrogiem; chodź, podaj mi rękę.“ Rozum posiadał niepospolite krytyczne uzdolnienie i nie był właściwie z nikogo zupełnie zadowolony. Miał więc i Rozpaczy to i owo do zarzucenia i zganienia. Sądził mianowicie, że ustawicznie grzeszy „przesadą“. Skoro jednak szło o pokonanie Nadziei, miłym był mu każdy sprzymierzeniec — i podał dłoń swą Rozpaczy.

. . . .

Razem tedy poszli w drogę, aby odnaleść Nadzieję i usunąć ją ze świata.

Dowiedzieli się najpierw, że przebywa ona u sławnego uczonego, który pracuje nad wynalezieniem „kamienia mądrości.“ Zaledwie do niego jednak przybyli, Nadzieja znikła i powiedziano im, że dla odmiany bawi teraz u pewnego króla, który wszystkie swe siły wytęża w walce o państwo i koronę. Skoro oboje sprzymierzeni przybyli do króla, opuściła go już ruchliwa mała osóbka. Z szyderczym strasznym śmiechem rzuciła się na króla Rozpacz, porwała go w swój uścisk i na swem łonie wyrwała zeń życie, a przytem nuciła smętną, słodką piosenkę, którą podsłuchała u wichru, gdy raz żałośnie szumiał nad polem bitwy, zasianem trupami.

„Nie czekaj, chodź“ — naglił Rozum. Rozpacz pozostawiła martwego króla i ujęła przyjaciela pod ramię. Oczy jej zwycięsko pałały. „Myśmy powinni zawsze być razem; w sojuszu z sobą pokonamy świat cały“ — rzekła.

„Pomóż mi przedewszystkiem znaleźć Nadzieję“ — mówił Rozum — w tym tylko celu połączyłem się z Tobą, nie z innym.“

— „Czekaj chwilę“ — uspokajała Rozpacz — wszak ślad jej musi się znaleźć, bo gdziekolwiek stąpi, wyrastają kwiaty i młoda, zielona trawka. Nawet, gdy już za zimno, aby kwiaty z ziemi wywabiać, to i wtedy mistrzyni ta z lodu kwiaty na oknach maluje.“

. . . .

Tymczasem Nadzieja siedziała u łoża chorej dziewczynki i opowiadała jej bajki. Ach, urocza to była czarodziejka, owa tak ciężko przez Rozum oskarżona; przyznałby to każdy i niepodobna było mieć za złe dobremu Bogu, że ją tak kochał. Miała na sobie zieloną sukienkę, którą jej wiosna co roku dawała na imieniny; bieg sukienki zdobiły suto świętojańskie robaczki, pomiędzy które wplatał się tu i ówdzie błędny ognik. Wieniec z ciemno-niebieskich hjacyntów otaczał jej główkę, a w jej płowych włosach jaśniał promień słońca — i gdy się raz tam usadowił, nie chciał się już wcale usunąć. Dobry Bóg darował jej parę potężnych skrzydeł, aby szybko i żwawo biegła w podróży. Zresztą, wyglądała tak, jak najpiękniejsza dziewczynka. Miała dwoje delikatnych, miękkich rączek, które rzekłbyś, były umyślnie do pieszczot stworzone, taką miłą figlarną, dziecinną twarzyczkę, że się na sercu ciepło robiło, skoro się do kogo uśmiechnęła. Głosik jej był jasny i słodki, jak śpiew skowronka, gdy hen, wysoko w błękitnem niebie nuci swą piosnkę aniołom. A głos ten opowiadał zawsze tylko miłe i wesołe rzeczy. Któż mógł mieć jej za złe to, że się sprawy nie zawsze tak układały, jak ona chciała?

Nędzna to była izdebka, w której spoczywało chore dziewczątko. Małe szyby w oknach popękały, zaklejono je więc papierem. Srogi wicher grudniowy wpełzał do wnętrza tysiącem drobnych szpar w ścianach. Ostatni drewniany stołek porąbano i rzucono do małego, żelaznego piecyka. Łóżko było twarde. Chora walczyła z bólem i śmiercią, ale chciwie słuchała bajek opowiadanych przez Nadzieję — i była szczęśliwą. Nagle, ostre zimno wdarło się do izdebki.

Nadzieja zadrżała. Przeczuła zbliżenie się rozumu i zlękła się. Jeszcze z Rozpaczą dałaby sobie radę, ale Rozumowi podołać sił jej brakło. Chciała uciekać, cóż, kiedy dziewczynka błagała: „Zostań, zostań“... Nie miała więc serca uciekać. Wzięła chore dziecko w swe objęcia i ukołysała je słodkiem słowem pieszczoty do ostatniego, głębokiego snu. Nagle, uczuła lodowatą dłoń na swem ramieniu. Spojrzała. Rozpacz stała przed nią; porwała ją bez litości i rzuciła z szyderczym śmiechem Rozumowi w ramiona. „Masz ją — wołała — prowadź przed tron sprawiedliwego Boga. Teraz jestem wolną, teraz ja panuję“.

Rozum uprowadził skutą w więzy Nadzieję, a Rozpacz ogarnęła cały świat szeroki.

. . . .

Przed tronem boskim stała Nadzieja i na wszystkie zarzuty, które czynił jej Rozum, odpowiadała smutnem pochyleniem głowy. Nie mogła zaprzeczyć, że lekkomyślnie prawiła bajki, że malowała piękne obrazy, że nieraz łudziła ludzi i przez to popełniła niejedno złe. A gdy dobry Bóg, marszcząc czoło, pytał ją w końcu, czy uznaje swoją winę, westchnęła ciężko i rzekła: „tak“. Ale wnet podniosła główkę i zwróciła swą figlarną, uroczą twarzyczkę ku rozgniewanemu Bogu: „Cóż miałam począć, o Panie! Tyś włożył w serce me pragnienie uszczęśliwiania ludzi, a nie dałeś mi mocy ku temu. Nie mogę obojętnie patrzeć na smutek ludzi, a przecież nic innego nie zdołam uczynić, więc im przynajmniej opowiadam bajki, aby ich rozweselić“.

. . . .

Nim dobry Bóg rozważył, jak ma zaradzić bezsilności Nadziei, przybyła do nieba dusza przed chwilą zmarłego człowieka. „Zapytam ją, jak tam sprawy idą na ziemi“ — zawołał. Opowiadanie duszy było straszne. Na ziemi źle się dzieje.

Połowa ludzi, umęczona życiem, zadała sobie śmierć gwałtowną: piekło zapewne pełne po brzegi samobójców. Ci, którzy jeszcze pozostali na ziemi, żyją ponuro i obojętnie i nie mają odwagi cokolwiek przedsięwziąć. Rozpoczęte budowle stoją niedokończone, świątynie świecą pustkami. Nadzieja — mówią — znikła z ziemi i dla tego wszystko chyli się ku upadkowi.

Jeżeli zresztą uleciała tylko na chwilę, nie nadługo, to w każdym razie jednak szczęśliwieby zdążyła, aby Nowy Rok trzymać do chrztu: ale oto ludzkość napróżno oczekuje: Nadzieja się nie pojawia.

. . . .

Zaledwie Nadzieja to usłyszała, nie czekała wcale, aż ją uwolnią: porwała więzy i potężnym rzutem skrzydeł spieszyła, aby Nowy Rok trzymać do chrztu, i, jak dawniej, koić powszechną niedolę ludzi bajkami. Wszechmocny Bóg pozwolił jej lecieć taką, jaką była, z wielkiemi wadami i serdeczną dobrocią.

Ponieważ już teraz ludzie bez niej nie mogliby się obyć, nie pora więc myśleć o jej przekształceniu. Zachował to sobie Bóg na później.

A Rozumowi nakazał, aby się usunął i oszczędził mu na przyszłość swych oskarżeń.

K.

W noc wigilijną:

FANTAZJA.

Na poddaszu w samotnej izdebce oparty o framugę okna spoglądał w ulice wielkiego miasta. Ze wszystkich niemal okien światło rzucało swe blaski. Tam za temi oknami wszyscy się weselą, nucą pieśń dziękczynną Panu na wysokościach. On nie miał nikogo, ktoby go przytulił w tym dniu wielkiej wszechświata radości. Nikogo! Tylko nędza nieubłagana, nędza skulona w ciemnościach izby wyciąga ku niemu swe ramiona. Ścigany przez los, rzucony na bruk miasta wśród ciężkiej pracy, zarabiał tak mało — tak mało, że omal nie ginął z głodu... Tej, którą ubóstwiał, nie mógł pojąć za żonę. Nędza, jedyna jego przyjaciółka, stanęła na przeszkodzie. Zazdrosną była o niego.

Szlachetny nie chciał młodziuchnej istoty przykuć łańcuchem niedoli do ciężkiej taczki swego żywota.

Uciekał przed ukochaną, kryjąc swą niedolę, a łzy wyorały już bruzdy na jego twarzy. — Serce miał czyste, duszę wzniosłą, charakter wielki... dziś nie było dlań domowego ogniska. W tę noc wigilijną — czuł się najnieszczęśliwszym z ludzi. Płakał rzewnie. Kryjąc twarz w dłonie, rzucił się na barłog — jedyny sprzęt ubogiego poddasza. Cisza grobowa zaległa izdebkę — nikt nie zajmował się nim w tej ogólnej radości wigilijnej. „samotnym“ — Nikt!! Tylko na jasnym stropie niebios jedna z istot, które nigdy nędzarzy nie opuszczają, zaglądała do jego mieszkania.

Była to nieodstępna towarzyszka od pierwszego tchnienia jego życia. — Jej promień spłynął przez okienko izdebki, cicho, łagodnie, ucałował skroń, usta, ręce pracą zorane, przytulił go lekko, jak matka najukochańsze dziecię tuli do łona i wyprowadził na bruk wielkiego miasta...

— „Sądzisz, że tylko ty jesteś nieszczęśliwym?“ — szeptał promień, prowadząc go do wspaniałego pałacu. W marmury i złoto okładanej sali, w bogato obitym fotelu, z twarzą zwróconą ku wielkim weneckim oknom siedział mężczyzna młody — lecz skroń jego siwizna srebrzyła. — Siwizna jednej nocy — którą nagle wielkie nieszczęścia przynoszą. Ten bogacz niedawno utracił wzrok na zawsze.

„Posągi, wspaniałe galerje obrazów odda tobie, tylko powróć mu wzrok. Bogaty w majątek, bogaty w poczucie piękna, nie widzi piękna i nie zobaczy go nigdy — wszystko odda tobie, by mógł czerpać wraz z tą, którą ukochał, rozkosze ze skarbów swoich, by tylko mógł spoglądać w oczy tej, którą ukochał i w jej oczach mógł znaleść siłę do życia. Słyszysz? on już nie skarży się wcale.

Wierzaj mi, on nieszczęśliwszy od ciebie!“

. . . .

. . . .

Mknęli dalej...

W jednej sekundzie stanęli przed wielkim budynkiem — na dole dozorcy tego budynku śpiewali pieśń „Bóg się rodzi“, śmiech, radość dziatwy jak mgła wieczorna dotykały stóp wędrowców. Weszli do wielkiej sali, w żelaznych łóżkach, na białych, czystych poduszkach leżały chore biedne istoty.

Łagodny towarzysz oświetlił łoże obok będące i szepnął cicho:

— „Spojrzyj — ten młody robotnik z zapadłą od bolu twarzą, leży tutaj od roku.

Koło olbrzymiej maszyny zdruzgotało biedakowi obie nogi. Dziś z odciętemi do kolan nogami, czemże on dla świata; — Narzeczona, zdrowa, praktyczna dziewczyna, oddała rękę drugiemu, ten drugi zdrów, pracować może, a zatem i dzieci jej kiedyś wyżywi. Biedny robotnik nie ma żalu do nikogo, nawet i do niej — bo i na cóż jej kaleka tak bardzo nieszczęśliwy? — Wierzaj mi, on nieszczęśliwszy od ciebie!“ . .

. . . .

Dobry duch prowadził go dalej. Stanęli nad brzegiem stawu. — księżyc rzucał zimne promienie wokoło...

...Młoda, z wynędzniałą twarzą kobieta, siedziała na kamieniu, tuląc maleńką istotę do piersi.

Spoglądała w głąb stawu...

— „Posłuchaj jej losu...

Była młodą, niedoświadczoną — zbliżył się do niej jeden z tych... których tak wiele. Przysięgał jej wieczną miłość, domowe ognisko, raj, szczęście na ziemi. Omamił, oczarował, nareszcie uwiódł podstępnie...

Przed miesiącem ożenił się z drugą, a ją zostawił samą z tym owocem przysiąg dozgonnej miłości. Biedna... W dzisiejszą noc wigilijną szuka przyrębli na stawie, ażeby rzucić się na dno jego w głębi znajdzie może ulgę, na zawsze...

Nie lękaj się! Słyszysz cichy płacz dziecka. Ten płacz — to rosa ożywcza tego kwiatu najpiękniejszego, który nazywamy duszą matki. Rozpacz minęła. — Całuje dziecko serdecznie, długo, ożywiona myślą, że dla tej dzieciny żyć powinna, powraca do domu — do pracy — nie żali się już wcale.

Wierzaj mi, ona nieszczęśliwsza od ciebie!...“

. . . .

. . . .

Jak westchnienie Cheruba — mknęli dalej. Przybyli na cmentarz.

— „Spojrzyj! — rzekł łagodnie towarzysz — tym, których ziemia pokrywa dzisiaj, Bóg zapala drzewka wigilijne. Widzisz te miljony gwiazd? To świeczki, które Bóg na tem drzewku zapala, błękitna gaza, która spływa na te groby, to gałązki niebiańskie tego drzewka. — Z góry płynie pieśń zrozumiała tylko dla tych, którzy tutaj spoczywają — cicho — spokojnie tutaj po trudach życiowych. — Czy widzisz tę drobną postać dziewczyny? — Klęczy na śnieżnym całunie, całuje zimny krzyż i modli się w dniu dzisiejszym na grobie rodziców. Rok temu była bardzo szczęśliwą... Dzisiaj nie ma nikogo! Czy ty pojmujesz co to być sierotą? Tam w głębi, na wielkim obszarze pól śmierci, siostra opłakuje siostrę, brat brata, żona męża, mąż żonę, ojciec ukochaną córkę, matka jedynego syna.

— Wierzaj mi, oni nieszczęśliwsi od ciebie!“

. . . .

. . . .

Szybowali daleko... bardzo daleko, nareszcie stanęli na progu skromnego domostwa.

W pokoju światło padało na całą rodzinę.

Matka i dzieci klęczały przed obrazem Zbawiciela.

— „Boże na niebie! Boże jedyny! nieskończony w swej dobroci, wróć mi mojego męża. Wszak on niewinny! Ty wiesz najlepiej!

— Boziu! Drogi, kochany Boziu wróć nam tatusia! — szeptały błagalnie modlitwę dzieci. Podobne do kwiatów na łąkach, które niosą woń w „nieskończoność“.

Dobry duch zakrył twarz rękami i przez długą chwilę nie mógł słowa wymówić na widok tego nieszczęścia...

— „Spojrzyj, to żona i dzieci niewinnie wysłanego na Sybir.

Nieszczęśliwy przez sen szepnął:

— „Boże wróć nam ojczyznę!“

— „Dziś oderwany od ogniska rodzinnego. Oto ich noc wigilijna. Wierzaj mi, ta matka, ten mąż i te dzieci nieszczęśliwsi od ciebie“.

— Chodź dalej ze mną... Wskażę tysiące stokroć nieszczęśliwszych od ciebie. Chodź... Chodź...

— O nie! Dobry mój duchu. Nie pójdę dalej — wierzę — wierzę z całej duszy, wierzę... Niesłusznie narzekałem. Proszę cię... błagam, proś twych towarzyszy, niechaj w każdą noc wigilijną niosą słowa pociechy, ulgi, odwagi, wiary do wielkich pałaców i pod ubogie strzechy.

I okrywając pocałunkami stopy towarzysza swego, płakał serdecznie, lecz teraz płakał łzami radości. Od tej chwili był bardzo szczęśliwy!...

Adolf Walewski.

NA GALERJI.

Obserwacje z czwartego piętra.

„Góra“ teatralnego audytorjum posiada pewne przywileje wobec reszty publiczności. Przedewszystkiem przed nią najpierw otwiera Melpomena swoje podwoje. Na pół godziny przed rozpoczęciem się przedstawienia galerja funguje już. Ma to swoje racje — czysto fizycznej natury. Wędrówka po stromych, krętych schodach w podniebne sfery sztuki jest tak uciążliwą, że gdyby przyszło ją odbyć stałemu bywalcowi z lóż i parteru, wyrzekłby się niezawodnie przyjemności słuchania samej Patti lub Irvinga. Obywatele czwartego piętra traktują jednak ów most schodowy, po którym z przedsionka dostaje się do źródła estetycznych uciech i zadowolenia, jak bagatelę. Jedna minuta — i cztery piętra zostały przebyte metodą skróconego dzielenia: przez zamianę kilku stopni na jeden.

Obywatel z galerji musi być na stanowisku jak najwcześniej; nie wolno mu bowiem uronić przyjemności przysłuchania się próbnym tonom, jakie dolatują od krzesełek w orkiestrze. O siódmej — jeżeli grają jedną ze sztuk, należących do repertoaru galerji — „góra“ jest już zupełnie „nabitą“ i wisi jak obłok, brzemienny gromami, nad resztą teatru. Na flegmatycznym parterze gromadzą się tymczasem ostatki publiczności, słychać trzask opuszczanych foteli, wolne miejsca zapełniają się coraz to nowemi postaciami — serce publiczności układa się do normalnego fungowania. Galerja niecierpliwi się; niesforne tupanie nogami tłumi oklaski, zrywające się jak gruby letni deszcz i cichnące na chwilę. Nakoniec kapelmistrz uderza pałeczką o pulpit i kurtyna idzie w górę.

Galerja słucha sztuki zupełnie inaczej, jak reszta audytorjum. Za muzyką przepada i słucha jej z wzorowem skupieniem. W komedji szuka tylko ostateczności: chce śmiać się lub płakać całą duszą, przyczem w odczuwaniu wszelkich w tym kierunku efektów jest bardzo niewybredną. Pierwszy lepszy trywialny zwrot pociąga za sobą wybuchy wesołości, tak, jak każdy patetyczny okres, wypowiedziany przez aktora przy możliwem podniesieniu głosu, wywołuje stałe salwę oklasków. Dlatego „naiwne“, mordowane binoklami przez znawców z lóż i krzeseł, nie cieszą się względami galerji. Nie są odczuwane. Czasami inteligencja nie dopisuje czwartemu piętru i wtedy zdarzają się takie epizody, jak śmiech w najtragiczniejszem miejscu. Parter objawia swoje niezadowolenie sykaniem, kilka głów podnosi się nawet ku górze, galerja konsternuje się lekko, ale tragik zna „braki swoich słuchaczy i pobłażliwie przechodzi nad niemi do porządku dziennego...

Lwowska galerja jest stosunkowo dość przyzwoitą; bardzo rzadko wygwizduje aktora, a wyjątkowo tylko używa do tego celu kluczy. Nielitościwą bywa, jak każdy tłum, ale za to mało kiedy — dowcipną. Kiedy jest w bardzo dobrym humorze, podpowiada artystom koniec

zdania, rzuca na parter orzechy lub skrawki papieru, a wybucha homerycznym śmiechem, gdy kot zabłąka się na scenę. Kuplety lubi namiętnie i dziwi się w swojej naiwności, że taki Lelewicz albo Myszkowski „na poczekaniu“ potrafi skomponować kuplet na „bis“. Naturalnie posiada swoich ulubieńców, którzy za sympatje odwdzięczają się adresowaniem ukłonów w jak najwyższe strefy amfiteatru. Aktor, wywołany po skończonej odsłonie, a pomijający tendencyjnie loże i parter, wzbudza pod sufitem entuzjazm i może liczyć na stałe powodzenie w górnych regjonach.

Atmosfera towarzyska, panująca na galerji, jest typowo odrębną. Spostrzega się to już na wstępie po lekceważącej minie biletera, który *nota bene* wczoraj robił honory na balkonie, albo u wejścia do lóż. Tu są inni ludzie. Zamiast pomadek w różowej torebce, któremi słodzą się damy o dwa i trzy piętra niżej, piękności tutejsze kontentują się paczką maronów, włoskich orzechów lub jabłek, w antraktach zaś studjują pilnie afisze, przyczem stale nie mogą sobie dać rady z obcemi nazwiskami, wymawiając Augiera, Dumasa i Sardou — fonetycznie. Z szczególniejszą predylekcją badają, czy szampan, pity na scenie, nie jest przypadkowo zwykłem piwem pilzneńskiem, a na złośliwe uwagi naražona jest każda szynka, udająca wytworną kolację. Naturalnie kontrola pod tym względem ułatwiona jest znakomicie. Strzały sceniczne nie denerwują galerji — nerwy są tutaj jak stal.

Siedziba klaki ma swój osobny, uprzywilejowany repertoar i w przywiązaniu do niego jest krańcowo konserwatywną. Najchętniej widzi sztuki, w których odbija się kawał jej własnego życia. Wtedy panuje na galerji ruch najbardziej ożywiony, humor musuje i strzela, jak wino szampańskie, sypią się dowcipy niewybredne, ale podniecające. Galerja nie jest zazdrosną o niższe „regjony“ — bawi się doskonale „na bantach“ i nie zazdrości sztywnym łożom ich purpurowego obicia. Stały antagonizm panuje tylko w stosunkach z trzeciem piętrem, które wyzywająco i z lekceważeniem spogląda w górę. Po za tem nic nie mąci pogodnego nastroju na galerji — nawet policjant. W monotonnem wołaniu chłopaka, który w antraktach roznosi wodę, nie dopatruje się nikt społecznej nierównowagi. A przecież o dwa piętra niżej taki sam okrzyk brzmi sparafrazowany ponętnie: „Ciasta proszę!“

Publiczność z czwartego piętra — to surowy materjał, którego artystyczne instynkta nie wyszły jeszcze z okresu pierwotności. Jest to publiczność, która naiwnie zapomina o aktorach i widzi na scenie prawdziwych ludzi i prawdziwe życie. Wrażliwość jest tu elementarną. Kobiety kochają się w tragikach i bohaterach, młodzieńcy lokują kapitały swych uczuć na hipotece heroin teatralnych. Podczas pauz nie wychodzi nikt z sali, bo na dół zejść za daleko, a bufetu niema w pobliżu. Jeżeli więc namiętny palacz siedzi na galerji trzy godziny bez przezwy — to można mówić o zaparciu się dla sztuki. Czas antraktowy zapełnia się ploteczkami z przedsionka teatralnego, flirtem lub opowiadaniem treści ostatniej operetki. Wszystko to dzieje się o ile możności głośno i bez żenady. Artyści zyskują prawie zawsze na dobrym humorze galerji, bo kiedy ona jest flegmatyczną, całemu teatrowi brak podniety i ognia.

Myliłby się ten, ktoby sądził, że na galerji niema różnic społecznych. Jest przecież galerja „stojąca“ i „siedząca“ — dzieli je tylko 5 ct., ale grają one także swoją rolę. Miejsca „stojące“ mają nadto aż trzy kondygnacje, owe słynne „banty“, z których ostatni jest tak wysoko, że człowiek wsparty na nim, dotyka prawie powały. Teatr widziany z tego szczytu, przedstawia się jak olbrzymia, rozwarta, czerwona paszcza, w której jeży się kilkaset zębów-foteli, a nad niemi biegnie pięć ogromnych, białych łuków, jak pięć szczęk. Na scenie widać tylko czupryny aktorów i egzemplarz, wysterczający z budki suflera. Na „bantach“ tworzą się formalne kasyna, a raczej kluby gimnastyczne, których członkowie z wyzywającą nieraz pewnością siebie urządzają popisy zręczności.

Typy galeryjne kwalifikują się do oddzielnego studjum. Najwybitniejszym wśród nich jest bywalec teatralny, mający stosunki z aranżerem klaki. Bardzo często bywa on adeptem na statystę i marzy o mundurze hiszpańskiego szlachcica, tymczasem zaś mianuje wielkości teatralne i chodzi z zamiłowaniem na operetki. Drugim typem z galerji jest amator teatru z pobudek czysto idealnych, chłopak sklepowy, opisany tak po mistrzowsku w „Lalce“ Prusa. Trzecim typem — niedzielnym — jest młody czeladnik, który robi narzeczonej siurpryzę i prowadzi ją na „Barona cygańskiego“, jakkolwiek sam niezawodnie wolałby pójść do Szwendera pod parkiem stryjskim. Dalej idą studenci, żołnierze, szwaczki i całe rodziny przedmiejskie. Razem tworzą oni jedno ciało psychiczne, kapryśne, złośliwe, kierujące się pierwszym surowym popędem i odczuwające wszystko z wierzchu.

W niedzielę popołudniu staje się ono wprost niesfornem. Bije brawo i wywołuje aktorów bez końca. Po siódmej odsłonie „Zbójców“ nazwisko „Żelazowski!“ aż grzmi w powietrzu. Żelazowski wychodzi w czarnym kostjumie Franciszka Moora przed budkę suflerską, kłania się i znika za kurtyną. Ale oklaski nie milkną wcale. „Żelazowski! Żelazowski!“ grzmi galerja przy akompanjamencie tupania nóg i ogłuszających oklasków. Artysta wychodzi ponownie, kłania się i znika. Brawa nie słabną jednak ani na sekundę. Żelazowski pojawia się przed kurtyną trzeci raz, czwarty, piąty, szósty i siódmy... Jeszcze nie dosyć! Po raz ósmy dziękuje artysta za uznanie... Tygrys-galerja uspokaja się. Jej despotycznym popędom stało się zadość.

A. Chołoniewski.

1887 — 1897.

(Luźne kartki).

Dziesięć lat mija od chwili, gdy *Dziennik Polski* przeszedłszy w ręce obecnych właścicieli, rozpoczął nowy okres swego istnienia. — Dziesięć lat, to zapewne niedługi okres czasu, a jednak w naszych stosunkach wydawniczych dziesięć lat — to wiele...

Z dniem 1. stycznia 1887 wydawnictwo uległo zupełnej zmianie; *Dziennik*, wychodzący dotychczas wieczorem i tylko w dnie powszednie, stał się pismem porannem i codziennem. Do dziś też jest pismo nasze jedynem, jakie zamiejscowi prenumeratorowie otrzymują także w poniedziałki. Równocześnie wprowadzony został stały tygodniowy dodatek literacki, a na mocy układu z wydawnictwem *Bluszczu* umożliwiliśmy czytelnikom nabywanie tego tak starannie redagowanego pisma po możliwie najniższej cenie. Nietylko jednak zewnętrznie uległ *Dziennik* zmianie, zmieniła się też i zwiększyła redakcja, a dział informacyjny został rozszerzony odpowiednio do potrzeb zwiększającego się koła czytelników.

Czy stanowisko, jakie od pierwszej chwili zajmuje *Dziennik Polski* — czy sposób, w jaki stara się służyć sprawie narodowej są dobre, o tem nie nam sądzić; w każdym razie konstatujemy z prawdziwą przyjemnością, że w ciągu tych lat grono naszych czytelników zwiększyło się znacznie, a co najprzyjemniejszem jest dla nas, to fakt, że ogromna większość naszych czytelników bez przerwy od lat dziesięciu zaszczyca nas swem zaufaniem. W ciężkiej i żmudnej pracy dziennikarskiej nie mała to pociecha, otucha i zachęta...

Są jednak działy w piśmie codziennem, o których mówić można konkretnie, a do takich należy przedewszystkiem feljeton. Pismo codzienne polityczne nie może naturalnie zbyt wiele poświęcać miejsca literaturze nadobnej, ale w naszych stosunkach. Wobec braku pism fachowych i w tym kierunku ciąży na piśmie poważne zadanie. Patrząc na nasz feljeton w ubiegłem dziesięcioleciu, śmiało możemy zdać rachunek przed czytelnikami, gdyż o ile to było możliwem, staraliśmy się zarówno w odcinku jak w dodatku dawać utwory pierwszorzędnych pisarzy. W ciągu tych lat, z większych prac powieściowych znalazły się w *Dzienniku* następujące:

a) Oryginalne:

Antonowicz K. Don Alonzo; Augustynowiczowa z Ponińskich, Poezje; Archemoros (dr. Jaroszyński), Pioruny życia; Amyntor G., Odpowiedź na Kreutzerowską sonatę; Bałucki Michał, Z mętów społecznych; Biliński Leon dr., Kartki z podróży po Bośnji; Brzozowski K., Oblężenie Lwowa 1648 (dramat) i Maj 1848 (opow. hist.); Ćwik W., Henryk Schmitt; Czarnik Br. dr., Na wieść o śmierci Mickiewicza; Czermak J. dr., Z Tatr; Czerwiński Wł., Józef Supiński; Dzieduszycki W. hr., 1) W Paryżu, 2) Mięszane małżeństwo, 3) Sztuka polska na wystawie krajowej; Graybner St., 1) Mój romans, 2) Na warszawskim bruku, 3) Mamin synek; Grabowski T. L., 1) Trzy karty, 2) Janusz, 3) Gdzie szczęście, 4. Antko; Hirschberg A. dr., 1) Wrażenia z podróży po Grecji, 2) Hiszpanja, wspomnienia z podróży; Hordyński K. G., Bartek Połatajło; Inlender A. (Adin), 1) Listy do redaktora, 2) Listy z wystawy muzyczno teatralnej, 3) Listy z Bułgarji; Jeż T. T. [illegible] zia; Kraszewski I. J., Nad przepaścią; Kuncewicz J., 1) Słowicze dźwięki, 2) Stasine oczy, 3) Panny z kalendarza, 4) Moi przyjaciele, 5) Zaklęte usta, 6) Ustęp z Gita-Govindy; Kaczkowski Zygmunt, Wasi ojcowie; Krajewski Adam, 1) Swaty na przedmieściu, 2) Pluskwy, 3) Aż na dno! Kucharski K. Wrażenia z podróży; Klemensiewicz J. Poezje; Lewandowski R. Ze sztuki; Laskownicki Br. Z wystawy poznańskiej; Łętowski J. Icek Gesundheit i Sp.; Łoś W. hr. 1) Zięciowie domu Kohn et Cie, 2) Nera Polacca, 3) Mój rezydent, 4) High-Life doktor, 5) Panna Staryńska; Morosz J. Było ich dwoje; Morzkowska Ant. Bez steru; Majchrowicz J. Listy berlińskie; Magnuszewski D. Schadzka artystyczna; Niewiadomski St. 1) Z notatek kapelmistrza, 2) Muzyka na wystawie; Naganowski Ed. 1) Listy londyńskie, 2) Żona weterana; Nagoda. 1) Pusta ćwiartka 2) Gardeute; Nittman. Literatura dla młodzieży; Ostaszewski-Barański dr. 1) Najpiękniejsze na ziemi, 2) Ona, 3) Wielki rok, 4) Rok 1846. Pepłowski-Schnür St. 1) Kraszewski jako autor dramatyczny, 2) Teatr polski we Lwowie, 3) Inni, 4) Spiskowcy, 5) Za orłami Napoleona, 6) Reformy Jóreflńskie, 7) Z krwawych dni, 8) Listy polskiej damy, 8) Galiciana, 10) Anonim o Galicji, 11) Z archiwum cenzury; Pepłowski Tadeusz. Poezje; Płoszowski Leon. Poezje; Pawłowicz E. 1) Z podróży po Litwie, 2) Polacy w Ameryce; Rodziewicz Marja. 1) Farsa panny Heni, 2) Chrobata, 3) Straszny dziadunio, 4) Kozacza dusza, 5) Pożary i zgliszcza, 6) Pierwsza kula, 7) Między ustami a brzegiem puharu, 8) Juvenes dum summus, 9) Szary proch, 10) Błękitni, 11) Klejnot; Rossowski St. 1) Cykl nowel; 2) Cykl poezyj, 3) Z literatury i o literaturze, 3) Miscellanea ze świata artystycznego, 5) Wurf; Rawita Fr. 1) Warszawa w r. 1794, 2) Na stepach; 3) Złotobrody emir (pod pseud. Wigura St.); Rodoć M. Listy do pana Bonifacego; Stroner A. Poezje; Styka Jan. Listy o sztuce; Silesius (pseud.). Wszystkiem pieniądz; Siemiński Jan ks. dr.: Socjalizm a czynny chrystjanizm; Saski J. Listy paryskie; Sienkiewicz Henryk. Quo vadis (przedruk streszczenia umieszczonego w *Kraju*); Szczęsna. Przelotne chmury; Sedlaczkówna J. Bohdan Zaleski; Teodorowicz R. 1) Z galerji gogów, 2) Figury ogrodowe, a nadto cały cykl nowelet i obrazków z życia; Turczyński J. 1) Całe życie sługą, 2) Wygnańcy; Urbański A. 1) Watażka, 2) Miateż; Ujejski K. Biała kamelja; Webersfeld E: Wspomnienia z ławy szkolnej; Wybranowski L. Drobiazgi z różnych czasów; Wilczyński A. Metoda dr. Kocha; Walewski A. 1) Teatr u nas i u obcych, 2) Poezje; Waligórski Fr. 1) Poezje, 2) Psalmy polskie; Wołowski, Opowiadaj dziadku; Zyblikiewicz Mikołaj, Kilka myśli politycznych; Zorjan, Mieszczańska duma; Zawadzki Wł. Wspomnienia z obozu St. Krzyskiego; Zych Fr. Wrażenia z wycieczki do górnego Szląska, w Poznańskie i do Prus zachodnich; Zieliński J. K. 1) Anima, 2) Nr. 13.; Zipper Albert dr. Z wieku konkwistadorów. X. Y. Z. Baronowa Krudenstera.

b) Tłumaczenia:

Alarcon Pedro: Złotowłosa (z hiszp.); Audebrandt F.: Willa Champercier (fr.); Aicard J. Czarny djament (fr.); Beniczky Bajza: 1) To ona, 2) Ella (z węgiersk.); Braddon M.: 1) Opactwo Tempest, 2) Błędna gwiazda, 3) W podejrzeniu, 4) Mąż wdowiec (z angielsk.); Brandes I. Wrażenia z Polski (z duńskiego); Blunt K. Traktat morski (z angielskiego); Caldos P. B. Peppa Fucar (z hiszpańskiego); Czajkowski. Pamiętniki (z rosyjskiego); Clarce L. Na tropie zbrodni (z angielskiego); Coppe Fr. 1. Prawdziwe szczęście, 2. Ojcze nasz (z francuskiego); Cobb. T. Na godzinę przed śmiercią (z angielskiego); Doyle Tępiciel Mormonów (z ang.); Dumas Alek. Lora gratis (z fr.); Daudet Alf. Mała parafja (z fr.); Eschtruth Natalja Głos krwi (z niem.); Ebers Kleopatra (z niem.); Francillon R. E. Korneljusz Herling (z fr.); Falb R. i Blunt K. Koniec świata (z ang.); Fournel W. Kapitan Hardy (z fr.); Flammarion Miłość na niebie (z fr.); Fleming H. Złote kajdany (z holend.); Green A. K. Tajemnica dr. Mileswortha (z ang.); Gyp Ostatnia przechadzka (z fr.); Giuliani Sąsiedzi (z włosk.); Gniedicz P. P. Na Ararat (z rosyjs.); Halevy L. 1) Criquette, 2) Mój proboszcz, 3) Najpiękniejsza, 4) Świetne małżeństwo (z franc.); Humme 1) Pstra wstęga, 2) Mstr. Jonas (z ang.); Hedenstjörna W śnieżnej zamieci (z szwedz.); Jellinek Ed. Nadeżda (z czesk.); Józefowicz M. W. Młodzież polska na uniwersytetach kijowskich (z rosyjs.); Kremer Józef Gryzący czerw (z holend.); Kielland A. L. Proza życia (z norw.); Kielson S. G. Skromne wymagania (z duńsk.); Korolenko W. Wspomnienia żandarma (z rosyj.); Lepelletier E. Madame Sans-Gène (z francusk.); Leliwa hr. Stosunki polsko-rosyjskie (z rosyjsk.); Mathera Tryumf Lilli (z włosk.); Maupassant Guy Clochette (z franc.); Monti M. List gończy (z włosk.); Mary J. Bez wyjścia (z franc.); Mathevs H. Kuzynka ze wsi (z ang.); Matopolo Leonidas (z greck.); Maeterlinck Maurycy Intruzi Ouida Don Gesnaldo (z ang.); Ohnet J. 1) Ostatnia miłość, 2) Dla dziecka (z franc.); Oliphant Mademoiselle (z ang.); Perron Księżniczka cyrkowa (z franc.); Poradowska Popy i Popadie (z franc.); Richepin J. Tajemnica zamku la Roche Morget (z franc.); Schuberth O. 1) Etykieta, 2) Bajka dla dorosłych (z niem.); Silva Carmen 1) Oderwany listek, 2) Pomyłka (z romań.); Stroupeznicky Wł. Podarek starego pisarza (z czesk.); Sternson R. L. Ollalla (z ang.); Stiepniak S. M. Podziemna Rosja (z rosyjs.); Stockton Fr. R. 1) Własne gniazdo, Morski djabeł (z ang.); Tinseau Leon Pod obuchem tajemnicy (z franc.); Twierski P. A. Szkice (z rosyjs.); Tołstoj L. 1) Prześladowanie chrześcjan w Rosji, 2) Nowele (z ros.); Theurieta Proces Froideville (z franc.); Vogüé Eug. Na Krymie (z franc.); Zola Marzenie (Le Revé).

Przeważna część tych utworów tłumaczoną była przez członków redakcji *Dziennika Polskiego*. Oprócz tego wspomnieć tu należy o większych pracach oryginalnych z zakresu hygjeny. Prace takie zamieszczali w piśmie naszem pp. doktorowie: Gońka, Henzel, Jasiński, ś. p. Krówczyński, Stachiewicz, Wiczkowski i Wehr. Ten ostatni jest uprzejmym i łaskawym naszym sprawozdawcą z kongresów chirurgicznych. Z przytoczonego tu szeregu utworów większych oryginalnych i tłumaczonych, przekonać się mogą czytelnicy nasi, że feljeton nasz starannie był redagowany.

Ale wspomnieć nam wypada o kilku nazwiskach, z którymi czytelnicy nasi częściej się spotykali. Do tych należą nazwiska pp. St. Schnüra-Pepłowkiego, który dla *Dzien. Pol.* napisał przeszło sto feljetonów z przeszłości kraju i stolicy, St. Rossowskiego, który prowadził dział krytyki literackiej i zasilał *Dziennik Polski* swymi utworami tak z zakresu poezji jak i prozy, St. Woynarowskiego, Br. Laskownickiego i A. Popławskiego, którzy prócz swych prac oryginalnych umieszczali celniejsze prace obcych pisarzy, Stanisława Niewiadomskiego, który zamieścił wiele drobniejszych fajletonów z zakresu muzyki, dr. Stanisława Ritila, który się zajmował się krytyką dzieł politycznych i ekonomicznych, Aleksandra Milskiego, który przez lat ośm pisywał sprawozdania, Romualda Teodorowicza, który w pierwszych zwłaszcza latach zamieścił w *Dzienniku Polskim* cały szereg okolicznościowych fejletonów, H. Jossego, nowelisty, J. Zengtellera, nowelisty i M. Ch. Dzikowskiego, który pod pseudonimem „Stacha Pancernego“ pisywał kroniki niedzielne. W ostatnich już czasach szeregiem artykułów i sprawozdań zapisali się w *Dzienniku Polskim* pp. Antoni Chołoniewski i Edmund Kolbuszowski.

* * *

W ciągu tych lat pracowali stale w *Dzienniku Polskim* pp.: Bieńkowski Ad., Chołoniewski Ant., Josse Henryk, Kolbuszowski Edmund, Królikowski, Kucharski Karol, Laskownicki Bronisław, Merunowicz Teofil, Milski Aleksander, Niewiadomski Stanisław, Ostaszewski-Barański, Popławski Ant., Rawita-Gawroński Fr., Rittel Stan., Rossowski Stanisł., Schmitt Mieczysław, Sznür-Pepłowski Stan., Theodorowicz Romuald, Vogel Aleksander, Woynarowski Stan. Z tych p. Adam Bieńkowski pracuje obecnie w *Gazecie Lwowskiej*, pp. Laskownicki i Rossowski w *Słowie*, dr. Vogel Aleksander jest redaktorem *Gazety Narodowej*, w której też skład wchodzi p. Theodorowicz. P. Milski oddał się wyłącznie redakcji *Śmigusa*, p. Pepłowski redaguje *Naftę*, utrzymując jednak stały związek z *Dziennikiem Polskim*.

* * *

Dwóch pracowników straciliśmy w tym czasie przez śmierć. W d. 17. lipca 1889 zmarł śp. Lubin Hasiowicz, długoletni współpracownik *Dziennika*, w roku zaś 1895 utraciliśmy kierującego zecera śp. Stanisława Drewniewskiego, jednego z najzdolniejszych w swym zawodzie i człowieka niezwykłego charakteru. Cześć ich pamięci!

* * *

W czasie wystawy krajowej w roku 1894 wychodził *Dziennik Polski* dwa razy: o 8. rano i 6. wieczorem, w tym też czasie podaliśmy liczne ryciny odnoszące się do wystawy krajowej i salonu sztuki.

W r. 1890 wydaliśmy pamiątkowy numer mickiewiczowski (183), w r. 1891 numer „Trzeciego Maja“, ozdobiony licznymi portretami i rycinami. W tymże roku, w dniu 1. października wydaliśmy ozdobny numer na uczczenie dnia, w którym przed laty 30 *Dziennik* rozpoczął swoje istnienie. Numer ten zdobią portrety pp.: ks. Sapiehy, dr. Smolki, Ziemiałkowskiego i Zimy. W r. 1892 w dniu 5. lipca wydaliśmy numer poświęcony uroczystości sokolej, w r. 1893 osobnym numerem uczciliśmy jubileusz Kornela Ujejskiego i stuletnią rocznicę t. z. niemej sesji. Rocznica powstania Kościuszkowskiego znalazła oddźwięk w nr. 93 z r. 1894, który ozdobiony został nadto ryciną Popiela „Atak na armaty“, w czerwcu zaś tego roku wydaliśmy numer (154) w dniu otwarcia wystawy, ozdobiony portretami głównych jej twórców i widokami wystawy.

* * *

Nie od rzeczy będzie przytoczyć kilka cyfr, dotyczących naszego stosunku z prokuratorją państwa. W ciągu tych dziesięciu lat *Dzien. Polski* skonfiskowany został 62 razy, z czego tylko 27 konfiskat nie zatwierdzono. Najprzykrzejsze stosunki były w r. 1887, kiedy skonfiskowano *Dziennik* 18 razy. Było to za czasów bytności p. Girtlera....

* * *

Z dniem 1. stycznia 1897 rozpoczyna *Dziennik Polski* XXX rok swego istnienia, a XI od czasu, gdy przeszedł w ręce obecnych właścicieli. Że staraniem Redakcji będzie starać się o rozwój pisma w każdym kierunku — o tem zapewniać nie potrzebujemy. Nadmieniamy tylko, że i pod względem zewnętrznego wyglądu zajdzie nie mała zmiana, spowodowana tem głównie, że *Dziennik Polski* doczekał się wreszcie własnej drukarni, w której na stronę typograficzną nierównie więcej będzie można zwrócić uwagę.

Dr. K. Ostaszewski-Barański.

GWIAZDA BETLEJEMSKA.

(LEGENDA LUDOWA).

Tysiące lat przeszło pełnych zmian najrozmaitszych i przeobrażeń przekonań ludzkich, a teraźniejszość przez lud wiejski mimo to tysiącem węzłów pozostała złączoną ze szarem przedporaniem epoki zbawienia. Z ludowych obrządków, zwyczajów i obyczajów, z klechd i guseł, z bajek i podań rozchodzą się jeszcze zdumiewające dźwięki i odgłosy, które świadczą o wielkiej sile nastroju prastarych wyobrażeń i o niespożytej stałości ducha, w którego wnętrzu znalazły schronisko.

Najwyraźniej i najjaśniej od niezliczonych okruchów przedawnego życia, urokiem pogaństwa omglonego, odrysowuje się cykl podaniowy o gwiazdach. Legendy te są złotem ziarnem chrześcjańskiego siewcy z pierwszych wieków ery pochrystusowej.

Z prześlicznego tego cyklu, pełnego urokiem poezji owianych podań wyjmujemy jedno o gwieździe betlejemskiej,

Prześliczne dziś niebo — opowiada lud — skrzące się w nocy gwiazd mirjadem, za czasów żydowskich *) było zupełnie ciemne. Gwiazdy wówczas dopiero się nalewały, ale nie świeciły nad ziemią, tylko nad rajem, gdyż nie było jeszcze Tego, który miał zbawić ludzkość i zapalić te światła na stropie niebieskim. Ludzie wówczas wiedzieli o nich tyle, co przez sen. W nocy gwiazdy nie wskazywały im drogi, a jeżeli Bóg chciał jakiego człowieka prowadzić po swej woli, natedy zapalał mu ognie na obłokach. Za żydów tak było, że nawet dusze zmarłych leciały przez ciemności do góry i tam się błąkały, oczekując odkupienia. Nie było gwiazd, któreby wskazywały im drogę do raju, nie było drogi mlecznej, gościńca wiodącego do nieba. Do ludzi umierających w łasce przychodził wysłany przez Stwórcę anioł z pochodnią, aby ich dusze przeprowadzić przez noce przed tron Najwyższego. Z ziemi widziano wówczas ognie okrągłe jak koła i rozumiano, że to wozy ogniste, a na nich odjeżdżają dusze przed bramę niebieską.

Gdy zbliżała się chwila przyjścia na świat Zbawiciela, Bóg zapalił na niebiosach gwiazdy, a zapalił ich tyle, ile ludzi było na ziemi, aby Chrystus wiedział za ile dusz cierpi i umiera. Każdy człowiek miał swój znak na niebie i dziś, skoro się człowiek rodzi, zaraz jeden znak taki przybywa. Ztąd też gwiazdy rachować to grzech i niebezpiecznie, bo można przy tej rachubie „natknąć“ na swoją, a wtedy nagłą śmiercią skończyć.

Najjaśniej wśród gwiazd wszystkich błyszczała gwiazda Chrystusowa, gwiazda betlejemska, którą Bóg zawiesił na niebie na znak przyjścia Zbawiciela. Poczęła ona świecić na Zwiastowanie, ale dla złych ludzi nie była widoczną. Gdy Zbawiciel-człowiek na świat przyszedł, wytoczyli ją aniołowie na niebo, gdzie cudownym zajaśniała blaskiem. Dostrzegli ją pastuszkowie i święci Trzej Królowie i poszli pokłonić się Dzieciątku Jezus.

Przez cały czas, gdy Zbawiciel nauczał na ziemi, gwiazda ta nieporównanym jaśniała blaskiem, gdy zaś za nasze grzechy zawisł na krzyżu i oddał za nas swe życie, wówczas i gwiazda ta zgasła dla ludzi, a aniołowie wzięli ją i unieśli do nieba, gdzie do dziś błyszczy w raju u stóp tronu, na którym króluje Najświętsza Boża Rodzicielka.

Gdy się zbliży koniec świata i Chrystus będzie miał przyjść, aby odbyć sąd nad ludźmi, wówczas ta gwiazda znów zabłyśnie jasnym płomieniem na niebie i da znak ludziom dobrym, iż chwila sądu się zbliża. Ludzie źli widzieć jej nie będą. Gdy Chrystus zasiądzie na tronie i sąd rozpocznie, gwiazda ta zawiśnie nad jego głową.

E. Kolbuszowski.

*) Lud uważa żydów za najpierwszych na świecie. Od nich dopiero pochodzą wszyscy inni poganie, a nawet Niemcy, którzy są — jak lud twierdzi — tylko chrzczonymi żydami.

Ekonomiczne położenie kraju.

I. Okólnikiem z czerwca 1895 r. wezwał wydział krajowy wszystkie wydziały powiatowe do perjodycznego nadsyłania sprawozdań o ekonomicznem położeniu ludności rolniczej w kraju.

Po myśli tego okólnika nadsyłają też wydziały swoje sprawozdania wiosenne, letnie i zimowe, z trzech głównych okresów wegetacji roślinnej, donosząc o stanie zasiewów, wzroście ich i zbiorze ziemiopłodów.

Wydział krajowy, wydając powyższe rozporządzenie, wychodził z tego zapatrywania, że o stanie ekonomicznym kraju powinien być każdej chwili dokładnie poinformowany, ażeby wiadomości przynajmniej o niektórych z tych klęsk elementarnych, jakie każdy kraj nawiedzają, a zwłaszcza tak rolniczy jak Galicja, nie zaskoczyły go niespodziewanie, lecz by je mógł mieć we właściwym czasie, a zatem przed zebraniem sejmu, gdy jest możność, zestawiwszy sumę potrzeb, wynikających z tego powodu, zażądać ofiarności i pomocy ze strony kraju.

Na podstawie materjałów, jakie wydział krajowy dotąd otrzymał, można przyjść do przekonania, że rok bieżący nie wymaga od kraju jakiejś szerszej akcji ratunkowej z powodu klęsk elementarnych. Z wyjątkiem tu i owdzie trafiających się gradów i pożarów, co najwyżej miejscowego wylewu rzek, bez których na tak obszernem terytorjum żadnego roku obejść się nie może, — nie było na szczęście w r. 1896 żadnej klęski elementarnej, dotykającej rolnictwa krajowego, klęski, któraby objęła znaczniejsze okolice i wymagała natychmiastowej, doraźnej pomocy ze strony kraju. Jeżeli nawet ostateczne zbiory wykażą gorsze rezultaty, niż się tego pierwotnie spodziewano, to i tak zupełnie niepomyślny wynik nie przekroczy granicy sporadycznych i lokalnych wypadków.

Z wiosną oziminy zapowiadały się w całym kraju o wiele korzystniej; późniejsze dopiero niesprzyjające warunki atmosferyczne, jak długotrwałe zimna w kwietniu, opóźniające znacznie roboty polowe, jak niemniej i późniejsze posuchy letnie, głównie we wschodniej części kraju trwające, znacznie pogorszyły pierwotny stan ziemiopłodów; kilka podgórskich powiatów, jak: Sambor, Turka, Staremiasto, uskarżały się zaraz z wiosną na gorszy stan ozimin, inne wykazywały znaczniejsze szkody zwłaszcza w koniczynach, poczynione przez myszy polne w zeszłej jesieni.

Przednowek w tym roku i brak ziarna na zasiew wśród biedniejszej ludności nie okazał się nigdzie tak ciężkim, jak lat poprzednich. Taniość zboża, przedewszystkiem zaś urodzaj kartofli w r. 1895 przyszły na wiosnę z pomocą najbardziej potrzebującej warstwie ludności.

Najniekorzystniejsze pod tym względem warunki panowały tylko w paru powiatach i te częściowo dotknęły gminy o gorszej glebie, jak n. p. w powiecie niziańskim, gródeckim, część powiatu brodzkiego, a nadto w powiecie czortkowskim.

Co do stanu zarobkowania ludności, to w ogóle większość powiatów wykazuje brak roboty i zarobku w pewnych i to dłuższych okresach czasu. Najbardziej sprzyjające warunki dla robotników zdają się panować na zachodnich pogranicznych powiatach, jak: Biała, Chrzanów, Myślenice, nie mówiąc już o podmiejskich okręgach w krakowskim, lwowskim i przemyskim powiecie, okolice naftowej produkcji (Krosno, Gorlice) dają sposobność coraz większego zarobku miejscowej ludności, a nawet przyciągają obcą. Powiat łańcucki stwierdza niemniej większą łatwość zarobkowania w stosunku do lat poprzednich z powodu założenia cukrowni w Przeworsku i skutkiem tego znaczniejszych plantacyj buraczanych, jakie powstały w powiecie.

Jeżeli nie najbardziej znany, to w każdym razie posiadający największy rozgłos w kraju, jest ruch ludności naszej za morze do Stanów Zjednoczonych, Brazylji, a w ostatnich czasach i do Kanady. Zabiera on w każdym razie warstwę ludności zamożniejszej, posiadającej przynajmniej tyle majątku, ile to jest potrzebne do odbycia dalekiej podróży, często z liczną rodziną, jak to się dzieje przedewszystkiem ze wschodniej części kraju. Wychodźcy ci pozbywają się tutaj częstokroć za bezcen majątku swojego; kilka wschodnich powiatów, jak Skałat, Brody, Zbaraż, Trembowla, Husiatyn, nadmienia, że okoliczność ta wpłynęła w ostatnich latach na znaczną obniżkę ceny ziemi, że nawet skutkiem tego zaczyna brakować chętnych do kupna i to jedynie w wielu miejscowościach powstrzymuje dalszą tłumną emigrację.

Na zachodzie kraju objaw jest całkiem odmienny. W znaczniejszej liczbie wypadków nie emigrują stąd całe rodziny, ale jednostka tylko, nie pozbywają się one ojcowizny, ale przeciwnie, nadsyłają pozostałym w kraju zaoszczędzony grosz na opłatę długów i dokupno pola. Cena ziemi w tych okolicach podnosi się znacznie.

Wydział powiatowy w Krośnie donosi, że wzrost obdłużenia własności włościańskiej nie daje się spostrzegać, a nawet można twierdzić, że obdłużenie wskutek przypływu pieniędzy z Ameryki w niektórych wypadkach znacznie się zmniejszyło. Morg średniej ziemi dochodzi tam do 400 zł. i wyżej i zawsze chętnych znajduje nabywców.

Wydział pow. w Mielcu konstatuje, że gorączka emigracyjna już od paru lat w tamtejszym powiecie ostygła, nie ustaje jednak całkowicie; od czasu do czasu wydala się jeszcze po kilka osób do Ameryki północnej. W ogóle ci, którzy z powiatu mieleckiego wyemigrowali, przesyłają rodzinom swoim dość znaczne kwoty zarobionych tam pieniędzy, niektórzy przyjeżdżają sami ze zarobionymi pieniędzmi i osiadają na oczyszczonych z długu gruntach.

W ogóle według wiadomości z całego kraju, ruch emigracyjny zamorski w rb. znacznie osłabł. Tylko z południowej części powiatu brodzkiego donoszą, że od Nowego roku miało wyemigrować kilkaset osób. Niemniej w jasielskiem dostrzeżono znowu istniejący ruch, gdyż pieniądze z Ameryki nadpływają liczniej jak w r. 1895.

Druga odezwa

lwowskiej loży masońskiej.

Lwów, 22. grudnia.

W tych dniach wyhektografowaną została druga z rzędu odezwa tutejszej loży masońskiej pt. *Zweiter Weckruf an das jüdische Volk* jako wykład, miany w lokalu loży 31. października 1896. Dokument ten nie da się należycie streścić. Przy najmozolniejszych studjach niepodobna pochwycić przewodnich jego myśli, prócz zapowiedzi powtórnego przyjścia na świat Mesjasza i przypisania mu roli oswobodziciela żydów oraz całej cierpiącej ludzkości. Przytaczamy w tłómaczeniu z niemieckiego kilkanaście wybitnych ustępów masońskiej odezwy, a czytelnik — jeżeli mu się to uda — niechaj postara się sam ugrupować je w logiczną całość. Oto, co mówi odezwa:

„Wolnomularze wszystkich odcieni walczcie mężnie o wolność, równość, braterstwo, ludzkość, sprawiedliwość i rycerskość. Jesteśmy ochraniaczami ubóstwa, ojcami nieszczęśliwych, patronami wdów i sierót, apostołami pokoju i filarami obyczajności, dlatego starowiercy żydowscy uważają nas za misjonarzy chrześcijańskich i sądzą, że przyszliśmy, aby poprowadzić do chrztu całe żydowstwo. Biada wam, wy oszukani oszuści! A jednak wierzymy, że Chrystus jest królem Izraela, Mesjaszem, synem Józefa!

„Nie zajmowaliśmy się nigdy „wysoką polityką“ i gdy zaszczepiliśmy nową socjalną naukę na świecie. Ferdynand Lassale był naszem narzędziem — a nowa nauka społeczna jest krwią z krwi naszej i kość z kości naszej!

„Ta część żydowskiego plemienia, która nie uznać Mesjasza syna Józefa, oddana została w ręce Lucyfera, djabła. Tak utrzymują obydwa wielkie przekleństwa pentateuchu, tak utrzymuje prorok Daniel, tak utrzymuje apokalipsa (objawienia św. Jana), tak mówią święte księgi indyjskie przez usta fakirów, tak mówią wszystkie medja w swoich hipnotycznych snach, tak mówią nam czyste uczucie i rozum, tak samo mówi biblijny Balaam i wszyscy mędrcy i myśliciele i prorocy.

„Czy żydowstwo znajduje się w najściślejszym związku z Lucyferem? Kto jest Lucyfer? I komu należą się modlitwy wolnomularzy w ich małych górskich kaplicach? Czy modlitwy nasze mają jaki rezultat? Czy spirytyzm i hypnotyzm i mernneryzm i frenologja i teurgja i chiromancja i nowożytna astrologja i mantyka, jako nauki są wystarczającemi? Czy znamy znaczenie indyjskich honopi dla ekstazy człowieczeństwa? Co to jest żydowska tajemna nauka?

„Powiedźcie mi zatem, kto jest Lucyfer? Czy jest on bogiem słońca czy djabłem? Jest nasz Lucyfer istotą rzeczywiście istniejącą, jakkolwiek nadprzyrodzoną, czy też istnieje on tylko w fantazji, jak bogowie greccy? Jest nasz Lucyfer dziełem bożem czy ludzkiem? Wystrzelił z promieni słonecznych, czy wypełznął z błota czasów? Czy znacie wy tajemnicę, jak z człowieka staje się bogiem?“

W tem miejscu następują na całej stronnicy wyrysowane „symbole,“ „ideały“ i „stadja uświadomienia ludzkiego w czterech pierwszych stopniach wolnomularstwa“.

„Symbolami“ są trzy kwadraty, opatrzone na rogach następującemi nazwiskami: Mojżesz, Jezus, Mahomed i Lassal; Mojżesz, Jezus, Spinozą i Marks; Jezus, Zoroaster, Budda i Konfucjusz. Piewszy kwadrat nazywa się *das vierpunktirte Hochquadrat*. W drugim imiona Spinozy i Jezusa, a w trzecim imiona Buddy i Zoroastra, połączone są poprzecznemi linjami.

„Ideały“, opatrzone napisem *Haschguchu Prutions Einzelschicksal*, są to dwa kwadraty i cztery trójkąty. Kwadraty mają na rogach wypisane wyrazy: 1. Jezus. Nasir. Rex Judei, 2. Lucifer Asmond. Achitofel Bitru. Pierwszy kwadrat ma tytuł „INRI“, drugi „Djabel“. Pierwszy trójkąt *(Heil, Dreieck)* opatrzony jest wyrazami: Ojciec, Syn, Duch św.; drugi opatrzony wyrazami: prawa natury I. II. i III. stopnia; trzeci *(Homo Diabolicus)* wyrazami: mężczyzna, kobieta, dziecko, czwarta wreszcie wyrazami: temperament, typ i wychowanie, których wypadkową jest charakter.

„Historja“ obejmuje kwadrat i dwa trójkąty. Kwadrat dzieli historję ludzkości na cztery epoki: religja (od początku do r. 1783 po Chr.) filozofja (1793—1849), socjalizm (1849—1900), mistyka (1900 aż do końca). Trójkąty komentowane są wyrazami: 1. starożytność, wieki średnie, wieki nowożytne, 2. słowo, myśl, czyn.

„Wolnomularstwo“, zamykające tę tabelę, przedstawia się jako tabliczka, podzielona na 10 stopni, upstrzona 3 oczami opatrzności napisami: wiara, nauka, praca, miłość ludzi. Nadto spotrzegamy tu luźne napisy: *Entmetamorphose, unum cum deo* i bardzo nierycerski napis: Kobieta *homo diabolus*. Pod spodem: „Głównym ideałem wszyskich ludzi są: INRI III. stopień, Lucyfer.“ Napisy na samej tabliczce są nieczytelne. Następnie mówi odezwa:

„Dlaczego najmędrsi ludzie wszystkich czasów nie pili wina? Dlaczego nie jedli mięsa? Dlaczego nie żenili się? Dlaczego żyli w najstraszniejszem ubóstwie? Jak żył Zaratustra?

„Więc któż jest Lucyferem? Czy jest Lucyfer jednoznacznym z Heljosem i Apollinem? Jest Lucyfer szatanem i czy cienie umarłych są szatanami czy tylko cieniami? I czy dlatego duchy umarłych są Lucyferami? Czy mamy podobnie, jak Chińczycy, kult umarłych? Czy możemy powstrzymać losy świata? Czy możemy śmierć zakląć przez Lucyfera? Czy twórca praw natury pozwolił nam kazić dzieło swojej ręki? Czyż możemy zmienić prawa natury?

„Nie! Nie! Nie!

„Cóż więc wobec tego znaczy nasze tajemne nabożeństwo do Messjasza ben Józefa i kaplice i Lucyfer? Postępujemy tylko według wyższych praw natury, naszym najświętszym obowiązkiem jest poznawać je coraz bardziej.

„Wyznanie wiary wolnomularza:

„Wolnomularze nie wierzą w pięcioksiąg mojżeszowy. Wolnomularze nie wierzą w księgi talmudu. Wolnomularze nie wierzą w powagi katolickiego kleru.

„Wolnomularze wierzą natomiast w genjusz słowo, które się stało ciałem. Słowo boże zamienione w ciało zamieszkało między nami. Gdy Chrystus został ukrzyżowany, ciało jego stało się znowu „słowem“, a to słowo stało się znowu ciałem! Jestto nasza nowożytna kultura!

„Wolnomularze wszystkich odcieni, a z nimi wszyscy, którzy nie zostali dotknięci duchową ślepotą, wierzą w boski genjusz „słowo“ *(das göttliche Genie Logos)* i w jego trzykrotną metamorfozę za pomocą świętego trójkąta i czteropunktowego wysokiego kwadratu!

„I dlaczego kultura ta jest tak niedostateczna? Zapytacie o to. Messjasz syn Józefa nie może ugruntować szczęścia, tylko przygotować ją. Dokończenie pozostawione zostanie Messjaszowi synowi Dawida!“

„Ludu żydowski! Oto nadszedł twój czas. Niegdyś był bóg zemsty, niegdyś był straszliwy Oziris, który w świątyni Ozirisa błyszczał krwawo czerwonemi głoskami, który nakazał krwawy chrzest. I oto przyszedł twój prorok Eljasz (w odsyłaczu: św. Jan) i ochrzcił ciebie wodą.

„Ludu żydowski! Oto nadszedł twój czas. Wkrótce przyjdzie Messjasz syn Dawida, ażeby ochrzcić w ogniu ciebie i wszystkich synów człowieczych wraz z tobą...

„Ludu żydowski! Oto nadszedł twój czas. Wkrótce przyjdzie Messjasz syn Dawida (jestto ten sam Messjasz syn Józefa, któregoś kazał ukrzyżować) ale w zmienionej wspaniałej postaci jako król Muszuach! Słońce, księżyc i gwiazdy wieczorne przewyższa blask jego oblicza, aniołowie w niebie drżą przy wymawianiu jego imienia, gdyż on jest pierworodnym synem Boga. On wam obwieści naukę pokoju i on was ochrzci przez ogień i przez Ducha św.

„Nie jego naukę, lecz jego samego, jego ducha i jego ciało i jego krew czczą wolnomularze. To jest alfa i omega, początek i koniec wszelkiej mistyki!

„Trojaki jest stopień praw przyrody. Pierwszy obejmuje świat zwierzęcy, roślin, kamieni, powietrza i ciał niebieskich. Potem następuje człowiek. Z powodu pięknego ciała należy on do drugiego stopnia, a wedle swojego ducha do trzeciego stopnia praw przyrody. Metafizyka i wszystkie jej pokrewne gałęzie należą do trzeciego stopnia praw przyrody.

„Badanie nadnaturalnej wiedzy czyli praw przyrody trzeciego stopnia rozszerza się bardzo. Wyniki, jakie od 18. stulecia na tem polu osiągnięto, są niezwykłe. Nauki realne i sztuki piękne dostarczyły tajemnej nauce środków do stąpania coraz wyżej i wyżej w jej niesłychanej wydatności. Dzisiejszy realny świat jest córką idealnego świata, który był niegdyś. Tak samo nowożytna mistyka jest córką przebrzmiałej nauki.

„I podczas gdy socjaliści i kapitaliści walczą jeszcze o panowanie nad światem, gdy jeszcze cały świat dzieli się na dwa wielkie obozy, które z jednej strony głoszą wyższość silnego indywiduum, z drugiej panowanie maszyny, my śmiejemy się w skrytości; wiemy bowiem, że świat nasz — przypadnie zupełnie innym potęgom!

„Teostofja“ i „Karma“ te dwa wyrazy, nieznane większości ludzi nawet z imienia, zburzą cały realny gmach pieniężny i roboczy i wszystko pokryją różowym, nieprzenikliwym obłokiem! Wiele, wiele uczyniono na tem polu, jednakże najważniejsza rzecz pozostaje nam jeszcze do zrobienia. Badaliśmy przeważnie mistykę Egiptu, Indji, Persji i Chin; ale kto zna pierwszą kartkę żydowskiej tajemnej nauki? Kto zna „Sohar“, źródło wszelkiej mistyki?

„Badanie żydowskiej tajemnej nauki jest szczytem tajemnej nauki. Po za nią następują czyny, wielkie oswobadzające i rozwiązujące wszystko czyny!

„Wielką jest miłość wolnomularza dla swoich bliźnich. Wielką jest nasza znajomość praw natury, wielkim jest nasz ból światowy! I gdy w naszych małych kaplicach, które zastępują miejsce starych świątyń Izydy, rozważamy losy dzisiejszej ludzkości, ogarnia nas ogromny smutek.

„Gdy jednak w naszych małych kaplicach, które zastępują miejsce starych świątyń Izydy, rozważamy przyszłość dzisiejszej ludzkości, wówczas wołamy w szczerej radości: „Cześć żydowskiej tajemnej nauce!“ której cała wielka treść jest: Rabbi Josua ben Józef Hanozri, zwany Jezus Chrystus!

„Wówczas wyniki kabalistyki nie będą już zagadkowymi i nieprzyjaznymi dla ludzkości. Kto nas jednak zrozumiał, ten niechaj drzyszle pieniądze na wybudowanie najwyższego ideału!“

Podpisano: *Freimareru Loge, Grand Orient, Lemberg.* Sekretarz Samuel Popiel, plac Gołuchowskich l. 3.

KRONIKA.

Z opłatkiem. Uważając się za codziennych gości i przyjaciół Waszych, Szanowni Czytelnicy, jak rokrocznie, stajemy i dzisiaj duchem i sercem w pośród Was w onej chwili, gdy w rodzinnem gronie dzielicie się opłatkiem wigilijnym. I do tych życzeń ciepłych i szczerych, które sobie nawzajem wyrażacie, przyłączamy kilka słów z naszej strony. Niechaj błogosławieństwo Boże spływa na Was i rodziny Wasze strugą obfitą, niechaj wszelkie troski i cierpienia pierzchną na zawsze od ognisk Waszych hen! za dziesiąte morza i góry, niech Wam w spokoju i zadowoleniu mijają dnie, tygodnie, miesiące i długie, długie lata!

Kalendarz. Czwartek (24.): Adama i Ewy. Wschód słońca o godzinie 7. minut 57, zachód o godzinie 4. minut 7.

Mianowania. Prezydjum krajowej dyrekcji skarbu zamianowało oficjała rachunkowego Pawła Jaremczuka rewidentem rachunkowym, asystenta rachunkowego Feliksa Zimmera oficjałem rachunkowym, wreszcie praktykanta rachunkowego Antoniego Kinalskiego asystentem rachunkowym.

Komitet dla przeprowadzenia wyborów do izby handlowej i przemysłowej, pod przewodnictwem p. W. Gubrynowicza, ogłosił już listę kandydatów.

Zmiany w magistracie. W obsadzie biur magistratu zaszły znowu pewne zmiany, z powodu słabości jednego z szefów biura. Obecnie więc zarząd departamentów (z dniem 1. stycznia 1897) będzie następującym: Sekretarjat prezydjum i rady: radca E. Lukas; depart. I. (finanse) starszy radca p. Emil Cossa; dep. II. (niestałe dochody) st. radca p. Romuald Łyszkowski; dep. III. (budowniczy) radca J. Hobgarski; dep. IV. A. (wojskowy) zastępstwo sekr. B. Ostrowski; dep. JV. B. (taksy wojskowe) radca Fr. Wojnar; depart. V. (przemysł) radca Karol Jakubowski; dep. VI. (dobroczynny) L. Uruski; dep. VII. (podatkowy) sekr. Ks. Fischer; depart. VIII. (oświata) st. r. Kazim. Strzelbicki; dep. IX. (targowy) radca St. Cewiński.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór dra Franciszka Paszkowskiego na prezesa, a p. Jana Skirlińskiego na wiceprezesa rady powiatowej krakowskiej.

Tajna policja francuska ma również takie same ciemne strony, jak policja niemiecka. Nadzwyczaj ciekawe szczegóły podaje o niej p. Portalis, były redaktor gazety *Le XIX siècle*, który skazany w procesie o szantaż, zdołał uniknąć kary, opuszczając granice Francji. Wydał on broszurę p. t. *Un guetapens judiciaire* i w niej opowiada, w jaki sposób powstał skandal wilsonowski, który pociągnął za sobą ustąpienie Grevy'ego i wybór Carnota. Rzecz się miała, jak następuje: Zastępca szefa tajnej policji francuskiej Goron kazał sobie z kawałka skóry straconego mordercy Pranziniego zrobić bilet wizytowy. Gdy to się stało wiadomem, zrobił się naturalnie skandal, który Goron chciał za jakąkolwiekbądź cenę zdusić w zarodku. Wtedy właśnie do policji bezpieczeńswa nadeszła denuncjacja niejakiego Bouillona, który słynną Limousin oskarżył o szpiegoswo na korzyść Niemiec. Goron na własną rękę przeprowadził rewizję u pani Limousin, znalazł jednak tylko sporą paczkę biletów wizytowych, a między nimi bilety Wilsona, Boulangera, barona Mackaua i jenerała Thibaudina. Wtedy Goron wpadł na myśl, aby do pani Limousin posłać ajenta, który jej się przedstawił jako fabrykant jedwabiu Langlois z Roanne i prosił ją o poparcie w sprawie otrzymania krzyża legji honorowej. Limousin przyrzekła i zapoznała go z jenerałem Caffarelem, zastępcą szefa sztabu jeneralnego w ministerstwie wojny. Goron dał o tem znać natychmiast prefektowi policji p. Gragnon, a ten prezesowi gabinetu Rouvierowi, który zalecił największą ostrożność. Minister wojny jenerał Ferron zażądał wyjaśnień od Caffarela i zastrzegł sobie ukaranie go w drodze dyscyplinarnej. W ten sposób rzecz byłaby załatwioną, gdyby prasa nie robiła wciąż jeszcze hałasu o wyprawioną skórę Pranziniego. Wtedy Goron kazał całą pertraktację o krzyż legji honorowej ogłosić w *Le XIX siècle*. W kilka godzin potem aresztowano jenerała Caffarela. Aby samego siebie uratować, Goron, wbrew woli swego przełożonego, wbrew wyraźnemu życzeniu rządu odsłonił tajemnicę handlu, którą sam zainaugurował i w ten sposób był przyczyną usunięcia prefekta policji Gragnona, nominacji na to stanowisko Leona Bourgeois, ustąpienia prezydenta republiki Grévyego, upadku gabinetu Rouviera i wyboru Carnota, który nie byłby chyba nigdy został prezydentem, gdyby nie skandal wilsonowski. Z tego wszystkiego skorzystał tylko Goron: na miejsce Taylora mianowano go szefem tajnej policji.

Kuba rozpruwacz pojawił się w Brukseli. W ostatnich kilku dniach zamordował w Brukseli trzy kobiety w ten sposób, w jaki to uczynił w Londynie. W całej Brukseli panuje wskutek tego olbrzymie wzburzenie. Policja mimo energicznych poszukiwań, nie wpadła dotychczas na żaden ślad zbrodniarza.

Proces Stambułowa, jak to już doniosły telegramy, rozpoczął się w dniu 21. bm. w wielkiej sali Słowiańskiej Besedy w Sofji. Oskarżeni naturalnie nie przyznają się do winy. Tufekcziew zaznaczył, iż byłby z przyjemnością zamordował Stambułowa, gdyż ten przyprawił jego brata o śmierć. Georgiew starał się udowodnić swoje *alibi*. Świadkowie morderczego czynu zeznali, że nie poznają w oskarżonych morderców Stambułowa. Petkow zeznał, iż na byłego ministra czatowano od dawna, czego dowodem jest to, iż raz już chciano go zamordować na polowaniu w pobliżu Sofji, a po drugie iż Wulkowicz ostrzegał przed zamachem Georgiewa i Tiufekcziewa. Grekow oświadczył, iż Stambułow za życia podejrzywał kilka osób, że czyhają na jego życie. Służący Gunczo dowiedział się, iż woźnica, który odwoził Stambułowa z klubu do domu, już na kilka dni przedtem mówił o przygotowywanym zamachu. Przy końcu rozprawy odczytano list Stambułowa, którego treść jest stwierdzeniem zupełnem aktu oskarżenia.

Studenci rzymscy urządzili onegdaj wielką demonstrację na korzyść aresztowanych w Moskwie i w Petersburgu studentów rosyjskich.

Konduktor zbrodniarz. W sądzie obwodowym w Stanisławowie wdrożono obecnie śledztwo karne przeciw Juljanowi Matonoha, byłemu magazynjerowi kolejowemu o liczne zbrodnicze kradzieże popełnione przez otwieranie pak i posyłek towarowych na linji Stanisławów. — W tymże sądzie złożone są liczne i cenne przedmioty jak zegarki, łańcuszki, broszki, kółczyki, bransoletki, pierścionki, również binokle, rewolwery, strzelba, kapelusze, pugilaresy itp. Sąd obwodowy wzywa przeto poszkodowanych, którym podobne rzeczy w czasie posyłek kolejowych na linji Stanisławów skradziono, by się w tym sądzie ustnie lub pisemnie zgłosili.

Zaginiony parowiec. Z Tryjestu donoszą: Znaleziono na morzu pas ratunkowy z napisem „Travancore Tryjest“. Z tego wnosi *Mattino*, iż austrjacki parowiec „Travancore,“ który jeszcze przed sześciu tygodniami miał zawinąć do Marsylji i dotąd nie przybył, zginął wśród ostatniej burzy wraz z załogą.

Nowy Brüsewitz. W Starogardzie napadło na ulicy na porucznika von Zastrowa kilku łobuzów, a jeden z nich uderzył go w głowę. Porucznik wyciągnął pałasz i zaczął gonić napastników, a po drodze natrafił na gromadkę dzieci, powracających z jakiejś uroczystości. Z gromadki tej wyciągnął syna jakiegoś szewca i poranił go pałaszem w głowę bardzo ciężko, a następnie, pomimo energicznych protestów przechodniów, kazał go odprowadzić na odwach. Wzburzenie w mieście ogromne, śledztwo w toku.

Hamburg 23. grudnia. Centralna komisja strejkowa odrzuciła propozycje pracodawców, ponieważ takowe nie zawierają żadnych gwarancyj na przyszłość dla robotników. Wczoraj rozdano znowu 192.460 marek zapomogi. W porcie pracowano na 171 okrętach, a na 39 nie.

Zaburzenia uniwersyteckie. Ze Strassburga donoszą: Senat akademicki relegował lotaryngskiego studenta François, z powodu jego zachowania się wobec niemieckiego studenta Martina. Trzej studenci w imieniu towarzyszy wręczeli rektorowi adres z protestem. W rozmowie z rektorem, przekonani o bezpodstawności protestu, cofnęli adres. Wskutek tego dwaj inni studenci wręczyli rektorowi ponowny protest w imieniu jeszcze liczniejszej grupy studentów. Wczeraj obu tych studentów relegował senat.

Na targu.

— Po czemu funt szczupaka? pyta gosposia.

— Po 60 ct. odpowiada kupiec.

Czy wasz szczupak złowiony w morzu?

— Ależ nie proszę pani — w stawie janowskim.

— Myślałam, że w morzu, bo taki słony.

---

* **Tytuł dworski.** Znana we Lwowie przy ulicy Karola Ludwika l. 5. firma fabryki kapeluszy słomkowych J. Oberwalder i Sp. odznaczoną została świeżo tytułem c. i k. nadwornego dostawcy. Firma ta jest jedną z najznaczniejszych w austro-węgierskiej monarchji w tej gałęzi przemysłu.

Odznaczenie, jakie otrzymała, nadanem zostało wzmiankowanej firmie tak za jej solidarność i rzetelność, jak i za ważność jej fabrykacji, oraz eksportu, tudzież za ogólnie uznany gust jej fabrykatów.

* **Wspólny opłatek** w „Gwieździe“ odbędzie się d. 27. bm. o godz. pół do 12. w południe.

Zmarli.

Kazimierz Szeremeta, zmarł we wtorek 22. grudnia b. r., przeżywszy lat 30.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka; Dziś we czwartek z powodu wigilji teatr zamknięty: jutro w piątek popołudniu o godzinie 3 na dochód Stowarzyszenia wzajemnej pomocy artystów sceny lwowskiej: „Gorąca krew“, krotochwila ze śpiewami w 5 aktach Lindau'a i Krenn'a; wieczorem o godzinie pół do 8 „Sprzedana narzeczona“, opera komiczna w 3 aktach Fr. Smetany; w sobotę popołudniu o godzinie 3 „Hulaj dusza“, widowisko sceniczne w 5 aktach Adolfa Walewskiego; wieczorem o godzinie pół do 8 „Czarodziej z nad Nilu“, opera komiczna w 3 aktach Herbert'a; w niedzielę popołudniu o godzinie 3 „Wilk i owce“, komedja w 4 aktach Jordana; wieczorem o godzinie pół do 8 „Pumpmajor“, operetka w 3 aktach K. Neumann'a; w poniedziałek po raz pierwszy „Popychadło“, komedja w 4 aktach a 5 odsłonach Jana Szutkiewicza.

Śmigus, dwutygodnik humorystyczny, kończy z bieżącym rokiem dwunasty rok istnienia. Redakcja jego dokłada wszelkich starań, aby pismo podnosić i dążenia jej pomyślny uwieńczył skutek. *Śmigus* dziś pod każdym względem może się mierzyć z najlepszemi pismami humorystycznemi zagranicy. Humor jego cięty, wesoły, czasem gryzący, lecz gryzący sercem, zawsze trzymał się i trzyma granic dobrego smaku, i nigdy poza nie nie wykracza. Oprócz tego całe tomy ulotnych wierszy, pełnych dowcipu humoresek wesołych anegdotek i żartów stanowią prawdziwą kopalnię humoru dla czytelników i nawet najbardziej stetryczałego wśród nich pobudzają do śmiechu. W dalszym ciągu swej pracy pójdzie *Śmigus* tym samym torem, jak dotychczas, a redakcja chcąc pismo swe rozszerzyć i pogłębić pozyskała na współpracowników swych najwybitniejszych naszych pisarzy i humorystów ze Lwowa, Warszawy i Krakowa. Jak zawsze prześliczne rysunki zdobić będą każdy numer *Śmigusa*.

Wędrowca, najtańszego i najstaranniej redagowanego ilustrowanego tygodnika warszawskiego, wyszedł nr. 50 i zawiera: „Suma na Kocimbrodzie“, obrazek wiejski, przez Klemensa Junoszę“, „Z dziejów ógrnictwa“ przez A. Skrzyneckiego, „Przed i po ślubie“ przez Wielisława, „Światła i cienie“, „Na szerokim świecie“ itd. Nowi prenumeratorowie *Wędrowca* na r. 1897 otrzymają jako premję bezpłatną wielką ścienną mapę Europy, z nazwami polskiemi. Mapa taka w handlu księgarskim kosztuje 20 zł. Premja ta dorownówuje wartości prenumeraty. Filja *Wędrowca* we Lwowie znajduje się przy pl. Marjackim l. 4. hotel Europejski.

Nowe ustawy podatkowe przez Adolfa Inlendera na język polski przełożone, wyszły z druku nakładem księgarni Maurycego Perlesa w Wiedniu i sa we wszystkich większych księgarniach do nabycią.

OSTATNIE WIADOMOŚCI.

Na wtorkowem posiedzeniu izby panów przy dyskusji nad nowelą do ustawy przemysłowej odczytano petycję izby lekarskiej wiedeńskiej przeciw kreowaniu kas chorych dla majstrów.

Prof. Albert oświadczył, iż nie podejmuje w tym kierunku wniosku, wiedząc, że sprawa ta ustawowo załatwić się nie da. Z drugiej strony faktem jest, że dziś już do kas chorych przymusowo wciągnięto klasy zamożniejsze, jak artystów, koncypjentów, urzędników fabrycznych i t. p., przez co lekarze tracą zarobek. W kołach lekarskich nurtuje z tego powodu agitacja, która stać się może niebezpieczną.

Po dłuższej dyskusji ustawę przyjęto.

Również przyjęto ustawę o sprzedaży soli bydlęcej i prowizorjum budżetowe.

Dalej prof. Albert przemawiał za wnioskiem Zedtnitza co do kreowania przy klinikach katedr hydroterapji. Przyjęto wniosek komisji.

Następnie przyjęto w drugiem i trzeciem czytaniu przedłożenie ustawy o karnem postępowaniu z powodu zawodowego zajmowania się wychodźtwem.

W drugim i trzeciem czytaniu bez dyskusji przyjęto ustawę o ulgach stemplowych i należytościach dla towarzystw zarobkowych i gospodarczych, i ustawę o ordynacji Czartoryskich.

Köln. Ztg. donosi ze Stambułu, że w ostatnich dniach uwięziono znów mnóstwo urzędników i oficerów, i zapewnia, że w Yildiz-Kiosku obawiają się teraz mniej mocarstw europejskich, niż knowań tych niezadowolonych, którym pensji nie wypłacono już od kilku miesięcy.

Ścisłe kółko Młodoturków rozrzuca znowu po kraju proklamacje, drukowane w Paryżu i w Aleksandrji.

Na onegdajszem posiedzeniu sejmu węgierskiego odpowiedział minister obrony krajowej br. Fejervary na nagłą interpelację Komjatty'ego, który żądał, aby honwedzi węgierscy urządzili osobny oddział na wystawie paryskiej w roku 1900. — Otóż minister oświadczył, że samoistny oddział węgierskiej obrony krajowej na tej wystawie byłby za słaby, dlatego wskazaną jest rzeczą wystawę ponwedów połączyć z wystawą azmji wspólnej, gdyż w interesie Węgier leży, aby ta wystawa wypadła jak najwspanialej, Odpowiedź tę przyjęto jednomyślnie do wiadomości, poczem odroczono sejm do 11-go stycznia.

Berliner Tagblatt donosi z Petersburga, iż ambasador francuski hr. Montebello przywiózł przyzwolenie swego rządu na ewentualne zajęcie przez Rosję Stambułu. Dziennik sam jednakowoż powątpiewa o prawdziwości tej wieści i dodaje, że tak finansowe jak wewnętrzne położenie Rosji, zły stan kolei żelaznych i pokojowe usposobienie cara czynią wojowniczą politykę Rosji nieprawdopodobną.

TELEGRAMY „DZIEN. POL.“

Praga 23. grudnia. Powtórzone wczoraj wybory burmistrza wydały ten sam rezultat co poprzednio t. j. Staroczech Srb otrzymał 45, dr. Podlipny 41 głosów. Dzisiaj odbędzie się ponowny wybór, a rozstrzygać już będzie absolutna większość.

Hradec 23. grudnia. Jak słychać, oświadczą posłowie słoweńscy po zaprzysiężeniu w sejmie, iż pod pewnymi warunkami będą brali udział w pracach sejmowych. Spór jednakowoż wyniknie prawdopodobnie już przy wyborach do wydziału krajowego. Słoweńcy żądają tam jednego miejsca dla siebie, a popiera ich tylko pewna niewielka część posłów klerykalnych.

Berlin 23. grudnia. Biskupi wrocławski, warmiński i chełmiński, oraz arcybiskupi poznański i gnieznieński (?) mają zamiar znieść polskie książki do nabożeństwa i zwrócić się przeciwko polskiej agitacji niższego kleru. (Powyższa depesza biura korespondencyjnego polega bez wątpienia na jakiejś fatalnej pomyłce, gdyż po pierwsze jest tylko jeden arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, a po drugie nie można przypuszczać, aby arcyb. Stablewski miał się nagle stać germanizatorem! — *Red.*)

Berlin 23. grudnia. *Börsen Ztg* donosi, iż pruski minister skarbu Miquel nosi się z myślą ustąpienia ze swego stanowiska, a to z powodu niepowodzeń, jakich w ostatnich czasach doznał w parlamencie.

Rzym 23. grudnia. Pierwsza grupa włoskich jeńców odjechała wczoraj z majorem Nerazzinim z Massawy do Neapolu. Jenerał Albertone pozostał w Adisabeba, aby organizować dalsze grupy. Anglja użycza znajdującym się w marszu jeńcom jak najżyczliwszego poparcia.

Berlin 23. grudnia. Wiadomości o ustąpieniu pruskiego ministra skarbu Miquela zaprzeczają tutaj półurzędownie.

Paryż 23. grudnia. Na radzie ministrów zawiadomił minister wojny, iż najwyższej radzie wojennej przedłożył projekt przywrócenia czwartych bataljonów przy piechocie.

Cieszyn 23. grudnia. Ksiądz Stojałowski, któremu się udało uciec z Węgier, ukrywał się tutaj w swojem mieszkaniu. Odkryto go jednak wczoraj po południu i aresztowano.

Bruksela 23. grudnia. Małżonka księcia Chimay pozwoliła się wykraść dyrektorowi cygańskiej kapeli węgierskiej i uciekła z nim do Budapesztu. Książę wniósł skargę o rozwód.

Reszyca 23. grudnia. Według danych urzędowych zjechało do szybu 128 górników, 34 powróciło zdrowych. 34 wydobyto zabitych, 12 ciężko 12 lekko rannych, 36 dotychczas nie odszukano.

Stambuł 24. grudnia. Wczoraj ogłoszono irade sułtańskie zawierające amnestję dla Ormjan. Wykluczonych jest z niej 84 osób skazanych na śmierć, którym karę zamieniono na dożywotnie więzienie. Między nimi znajdują się obaj biskupi z Bitlisu i Haskioej, których internowano w klasztorze jerozolimskim.

Sofja 23. grudnia. Oskarżony w procesie Stambułowa Tufekczjew, który dotychczas pozostawał na wolnej stopie, został aresztowany.

Rzym 13. grudnia. Senat przyjął traktat handlowy z Tunisem i odroczył się do 8. stycznia r. p.

Londyn 23. grudnia. W Egipcie rozpoczęły znów grasować bandy zabusiów. Napadają one nawet na większe wsie. W utarczce z rabrsiami zginęło kilku policjantów.

Paryż 23. grudnia. Liczba strejkujących robotników dokowych w Toulonie rośnie z każdą chwilą. Niebezpieczeństwo groźne.

Berlin 23. grudnia. Afera porucznika Zastrowa wywołała wielkie oburzenie w wolnomyślnej prasie Domaga się ona surowego ukarania tego nowego bohatera ulicznego. Cesarz polecił, ażeby akty tej sprawy zostały mu po śledztwie przedłożone.

Telegram giełdowy.

Wiedeń, dnia 23. grudnia godz. 2 min. —.

Akcje kredytowe	372·25	Galic. obl. prop.	97·50
Alpiny	85·75	Wied. losy	—·—
Kredyty węg.	408·—	Akcje tyton.	148·—
Anglobanki	155·55	4% Poż. krajowej	
Unjony	291·—	z roku 1893	97.10
Ludwiki	—·—	Elbethale	272·75
Nordbany	—·—	Länderbanki	245·75
Lombardy	91·75	Renta złota węg.	122·25
Losy tureckie	51·50	Bankvereiny	258·—
Staatsbany	357·75	Wspólna renta p.	—·—
Czerniowieckie	283·25	Ruble	127·75

Z izby handlowej i przemysłowej.

Lwów 23. grudnia 1896 r.

I. **Akcje** za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika po 200 zł. m. k. 216·— do 219·—. Kolej Lwow.-Czern.-Jassy po 100 zł. w. a. do 286·50 w srebr. 290·50. Banku hipot. po 200 zł. w. a. I. emisji 386·—. do 396·—. Banku kred. galic. po 200 zł. w. a. 213·— do —·—. Garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200·— do 203·—. Fabryki wagonów w Sanoku przedtem Lipińskiego po 500 koron — 250 zł. w. a. 250·— do 260·—.

II. **Listy zastawne** za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% w. a. wylosowal. z 10% prem. 110·20 do 110·90. Banku hipot. gal. 4½% w. a. los. w 50 lat 99.80 do 100·50. Banku hipot. gal. 4% w. a. losów w 70 lat po 200 koron 96·70 do 97·40. Banku krajowego 4½% w. a. los. w 51 lat. 100·50 do 101·20. Banku krajowego 4% w. a. los. w 57 lat. 97·50 do 98·20. Tow. kredyt. galic. ziemsk. 4% (I. emisja) 97·50 do 98·20. Tow. kredyt. gal. ziem. 4% los. w 41½ lat. 97·40 do 98·10. Tow. kredyt. galic. ziem. 4% los. w 56 lat. 97·40 do 98·10.

III. **Obligi** za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% w. a. 97·50 do 98·20. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% w. a. 102·50 do —·—. Kom. Banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·— do 102·70. Komunalne Banku krajowego 4½% w. a. III. em. 100·— do 100·70. Pożyczki krajowej 6% w. a. 105·— do —·—. Pożyczki kraj. 4½% w. a. 97·— do 97·70. Pożyczki kraj. 4% w. a. z roku 1891 97·— do 97·70. Pożyczki kraj. 4% po 200 koron — 100 zł. w. a. z roku 1893 97·— do 97·70. Pożyczki 4% gminy miasta Lwowa 97·— do 97·70.

IV. **Losy.** Miasta Krakowa od 27·50 do 29·29. Miasta Stanisławowa od 42·— do —·—.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 23. grudnia 1896 r.

HOTEL ZORZA. M. Torosiewicz z Putiatyniec. W. Gniewosz z Kontow. R. br. Roztworowski z Hreborowa. S. Politzer z Wygody. B. Rotter z Suchodołów. O. Hassenhichl, L. Londoner z Radowiec. S. Manberg z Drogoscha.

HOTEL EUROPEJSKI. Dr. K. Neuman z Gorlic. F. Leszczyński z Tarnowa. J. Strzelecki z Kukizowa. Wł. Ślusarski z Buczacza. 4. Strzelecki z Żydaczowa. Br. Horech z Winniczek. Wł. Topolnicki z Topolnicy. Wł. Bobrownicki z Borysławia.

J. Pserhofera
Apteka „Zum goldenen Reichsapfel"
w Wiedniu, I., Singerstrasse nr. 15.

Pigułki krew przeczyszczające,

zwane dawniej **„Uniwersalnemi pigułkami,"** zasługują zupełnie na tę nazwę, bo rzeczywiście okazały się skutecznemi we wielu chorobach. Pigułki te rozpowszechnione są od wielu lat i mało znajdzie się domów, gdzieby tego środka domowego brakowało. Zalecany przez lekarzy środek w chorobach powstałych z niestrawności.

Cena: **1 pudełko o 15 pigułkach 21 ct. Rulon z 6 pudełeczek 1 zł. 5 ct.,** za zaliczką **zł. 1 10** bez opłaty porto.

Za poprzedniem nadesłaniem gotówki ceny wraz z opłatną przesyłką: Rulonik zł. 1 25, 2 rulniki zł. 2 30, 3 rulniki zł. 3.35, 4 rulony zł. 4.40, 5 rulonów zł. 5.20, 10 rulonów zł. 9.20. (Mniej jak jeden rulon nie wysyłamy.)

Upraszamy wyraźnie żądać: „J. Pserhofera przeczyszczających pigułek",
i pilnie uważać, aby zarówno na wieczku, jakoteż na sposobie użycia znajdowało się nazwisko **J. Pserhofer,** i to **w czerwonym kolorze.**

Balsam przeciw odmrożeniu
J. Pserhofera 1 tygielek 49 ct. — franco 65 ct.

SOK Z BABKI flaszeczka 50 ct

Cudowny Balsam 1 flaszka 40 ct. — franco 65 ct

Stolla Kola Preparaty,
najlepszy środek wzmacniający dla cierpiących na żołądek i nerwy, 1 litr wina Kola lub eleksiru 3 zł., ½ litra zł 1.60, ¼ litra 85 ct.

Gorżka tynktura żołądkowa
(pierwotnie esencją życia zwana). Łagodny pobudzający środek rozwalniający o wzmacniającem działaniu na żołądek w trudnościach trawienia. Cena flaszeczki 22 ct., tuzin flaszeczek 2 zł.

Balsam przeciwko wolom
1 flaszka 50 ct

Pomada chinowo-taninowa J. Pserhofera
najlepszy środek na włosy 1 doza 2 zł.

Plaster na rany profesora Steudel
tygielek 50 ct. — franco 75 ct.

Uniwersalna sól przeczyszczająca W. Bullricha,
wyborny środek przeciw złemu trawieniu
pakiet 1 zł

Oprócz wyżej wymienionych wyrobów są jeszcze na składzie wszelkie w austrjackich gazetach ogłaszane krajowe i zagraniczne aptekarskie specjalności, w danym zaś razie brakujące na składzie na żądanie punktualnie i jak najtaniej będą sprowadzane.

Rozsyłka pocztą po otrzymaniu kwoty przekazem pocztowym lub za zaliczką.

Za poprzedniem nadesłaniem należytości (najlepiej przekazem pocztowym) porto jest tańsze niż przy posyłkach za zaliczką.

Rozkład jazdy pociągów kolejowych dla miasta Lwowa,

według czasu środkowo-europejskiego późniejszego o 36 minut od czasu lwowskiego, ważny od 1. maja 1896 r.

Pociąg	godzina	przychodzi do Lwowa:
mieszany	7.50	z Janowa
osobowy	7.26	z Suczawy i Czerniowiec
"	8.15	z Sokala i Jarosławia przez Rawę
"	8.—	ze Stryja i Ławoczne go
"	8.05	z Podwołoczysk i Brodów
"	8.55	z Krakowa w poł. z N. Sączem, Jasłem i Rawą
mieszany	1.35	z Janowa
pospiesz.	1.30	z Krakowa w połączeniu z N. Sączem, Zagórzem i Chyrowem
"	1.51	ze Stryja i Ławocznego w połączeniu z Chyrowem i Stanisławowem
"	2.01	z Suczawy i Czerniowiec
"	2.34	z Podwołoczysk i Brodów
osobowy	5.10	z Podwołoczysk i Brodów
"	5.45	z Bełzca w połączeniu z Sokalem i Jarosławiem
Noc		
"	6.12	z Suczawy i Czerniowiec
"	6.55	z Krakowa w połącz. z Rozwadowem
"	8.03	z Brzuchowic
pospiesz.	8.45	z Krakowa
osobowy	9.30	z Krakowa w poł. z N. Sączem i Rawą
pospiesz.	9.55	z Suczawy i Czerniowiec
"	10.05	z Podwołoczysk i Brodów
osobowy	10.10	z Ławocznego i Stryja w poł. z Chyrowem i Stanisławowem
"	12.11	z Ławocznego i Stryja w poł. z Chyrowem i Stanisławowem
pospiesz.	5.10	z Krakowa w poł. z N. Sączem i Jasłem

Pociąg	godzina	odchodzi ze Lwowa:
pospiesz.	6.—	do Podwołoczysk i Brodów
"	6.10	do Czerniowiec i Suczawy
"	8.40	do Krakowa w poł. N. Sączem i Rozwadowem
mieszany	9.15	do Bełzca w poł. Sokalem i Jarosławiem
osobowy	9.50	do Podwołoczysk i Brodów
"	9.35	do Stryja i Ławocznego w poł. z Chyrowem i Stanisławowem
mieszany	9.05	do Janowa
"	9.55	do Krakowa w połączeniu z Jasłem
"	10.25	do Czerniowiec i Suczawy
pospiesz.	2.11	do Podwołoczysk i Brodów
osobowy	2.45	do Czerniowiec i Suczawy
pospiesz.	3.50	do Krakowa w poł. z Rawą i Chyrowem
"	3.06	do Stryja i Skolego
Noc		
"	6.45	do Krakowa w połącz. z N. Sączem, Zagórzem i Chyrowem
mieszany	7.05	do Sokala i Jarosławia przez Rawę
osobowy	7.22	do Stryja i Ławocznego
"	7.50	do Janowa
"	10.15	do Czerniowiec i Suczawy
"	10.45	do Podwołoczysk i Brodów
pospiesz.	11.—	do Krakowa w poł. z Jasłem, Rozwadowem i N. Sączem
osobowy	4.40	do Krakowa w poł. z Chyrowem, Jasłem, Rozwadowem i N. Sączem
"	5.22	do Stryja, Ławocznego i Chyrowa

MIÓD PANIEŃSKI
dziesięcioletni

odznaczony złotem medalem na Wystawie krajowej, tudzież uznany przez najznakomitszych osobistości za bardzo dobry. Środek niezawodny w osłabieniu nerwowem i przewodów pokarmowych, napój podniecający siły chorych, krzepiący rekonwalescentów, podtrzymujący zdrowych. **Jedna flaszka szampanka 1 złr. 10 ct.** (dwie flaszki idą na paczkę 5-kilową). Nabyć można w Administracji Bartnika, Lwów, ul Łyczakowska l. 93.

Z tegorocznego wiosennego zbioru. Przewyborne w smaku i zapachu

HERBATY
chińskie

w miarowicie:	½ kl. zł
Nandzyn czarna mocna	3 20
Sou-hong czarna łagodna	2 80
Congo bardzo dobra familijna	2 –
Okruchy herbaciane bardzo dobre	1.70
Wysiewki " " "	1.50

poleca HANDEL
St. Markiewicza
we Lwowie, w Rynku l. 42.



Jedyna niezawodna trucizna
na szczury, myszy domowe i polne

Przewyższa wszystkie dotychczas w tym celu używane. Działa trująco **tylko** na gryzonie (glires): szczur, mysz, królik itp.; dla ludzi i zwierząt domowych jak pies, kot, drób itp. **nie szkodliwa.**

Wysyłki w puszkach po ct. 80, 60 zł. 1. pocztą o 10 ct. więcej (za list. i opakow.) uskutecznia odwrotnie z pobraniem 2198 1—

Skład i laboratorjum przetworów chem.
JANA MICHNIKA
mag. farm.
w Bochni.
1 kl. trucizny zł. 2. — 4½ kl. 7 zł. 50 ct.

Hurtowny skład na Lwów: **L. Wróblek,** ulica Hetmańska l. 4. — Apteki: Łańcuta, Medenice, Mielnica, Przemyśl: S. Lepiankiewicz; Rawa Ruska, Sokal, Nareś, Wojniłów — Szlask: Bielsko S. Gaswinski, Jaworze A. Janieki

Na święta
Piwo wystałe w butelkach
oryginalnego napełniania.

Mam zaszczyt zawiadomić niniejszem Szanowną P. T. Publiczność, że przy nadchodzących

ŚWIĘTACH

zaopatrzyłem mój skład w wielkie zapasy

PIWA butelkowego

z trzech najlepiej renomowanych browarów w austrjackich:

Piwo pilznerskie
z browaru akcyjnego.
Piwo okocimskie
z browaru Jana Goetza w Okocimiu.
Piwo lwowskie
z browaru Lilienfelda

i upraszam najuprzejmiej, iżby Szanowna P. T. Publiczność zechciała zamówienia swe uskuteczniać

na parę dni naprzód,

aby dostawa do domu w należytym czasie mogła być uskuteczniona.

O liczne zamówienia uprasza uniżenie

S. Wieser
główny skład piwa butelkowego we Lwowie
ulica Sykstuska liczba 14.
(Telefon Nr. 149).



QUINA-LAROCHE
Z ŻELAZEM

W połączeniu ze SOLĄ ŻELAZISTĄ łatwą do uswojenia przez każdy organizm, jest najpotężniejszym środkiem wzmacniającym.

Przywraca krwi i czerwone kuleczki stanowiące jej piękność i siłę, pomaga *trudnemu rozwojowi organizmu,* ulecza *bezsilność i wątłość,* zaleca się przez lekarzy dla *kobiet po połogach i ozdrowieńców* etc.

W PARYŻU, 22 i 19, ULICA DROUOT
We Lwowie w aptekach pp. Wewiórskiego, Krzyżanowskiego, Ruckera, Sklepińskiego, i Erbara.

KAKAO-YERO
Kakao najlepsza marka
odtłuszczone, lekko rozpuszczalne
HARTWIG & VOGEL
BODENBACH
Fabryki: Dresden i Bodenbach
CZEKOLADY
uznane jako znakomite gatunki

Do nabycia w wielu cukierniach, handlach delikatesów i drogerjach.



Od dawien dawna ze swej dobroci i zapachu znaną prawdziwą

HERBATĘ ROSYJSKĄ
z tegorocznego zbioru majowego poleca handel

W. ADAMOWICZA
w Brodach

1 funt „Familijnej" bardzo dobrej	zł. 1.40
1 f. „Melange de Moskau" w oryg. opak. najl.	2.50
1 f. „Imperial" cesarskiej w oryg. opakow.	3.50
1 f. Wysiewków z najlepsz. herbat kwiatow.	1.30
Znakomita KAWA „Ceylon" franco 5 kilo	9.50

Herbata z Brodów!!!

Z powodu
ROZWIĄZANIA
stosunku komisowego
z wiedeńską firmą
„TEPPICHHAUS METROPOLE"
we Lwowie
(pasaż Hausmanna 8) ulica Sykstuska l. 6,

Cenę dywanów perskich, smyrneńskich jak i wielu innych europejskich, angielskich, brukselskich dywanów salonowych i ściennych, chodników, francuskich gobelinów, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, dir na konie i sanie itd., **zniżono cenę o 30, 40, 50 bdj nawet 65 procent,** najlepsza sposobność do nabycia podarków na gwiazdkę i noworocznych. Resztki chodników, materji meblowych, jakoteż dywanów z małemi wadami bajecznie tanie.

Ulgi spłat według umowy.
Ilustrowane cenniki gratis i franko.

E. M. Bernfeld, właściciel magazynu:
b. komisjoner wiedeńskiej firmy Teppichhaus Metropole.

„AU LOUVRE"

(Proszę uważać na adres).

Lwów, ul Sykstuska l. 6. (Pasaż Hausmana).

Lokal i urządzenie ewentualnie i skład towarów natychmiast całkowicie lub częściowo wyjątkowo tanio do nabycia

Die
Wirkung
der
Annonce

ist nur dann von Erfolg, wenn man in der Wahl der Blätter, in Ausstattung und Abfassung der Anzeige zweckmäßig vorgeht. Unsere seit 1874 bestehende Annoncen-Expedition ist bereit, jedem Inserenten mit Rath und That hinsichtlich zu erfolgender Reklamen in allen Journalen der Welt an die Hand zu gehen und dient gerne mit billigsten Kostenberechnungen, liefert completen Zeitungskatalog gratis, gewährt von Originaltarifen höchste Rabatte, besorgt discret Chiffre-Anzeigen und expedirt einlangende Briefe täglich.

Annoncen-Expedition
M. Dukes Nachf.
Max Augenfeld & Emerich Lessner
Wien, I., Wollzeile 6—8.

V. Monety. Dukat ces. 5·64 do 5·74. Napoleondor od 9·50 do 9·60. Półimperjał 9·60 do —·—. Rubel ros. srebrny 1·20 — do 1·25 —. Rubel ros. papierowy 1·27.$^{1}/_{10}$ do 1·28.$^{1}/_{10}$ 100 marek niem. 58·70 do 59·20.

(Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nią odpowiedzialności).

Ogłoszenie.

Gmina król. stoł. miasta Lwowa sprzedaje realność l. konskr. 54 (l. 2. Karczmę) położoną w Kulparkowie I. część składającą się z parceli podbudowlanej w obszarze 103 sążni kwadratowych i ogrodem o przestrzeni 572 kwadrat. sążni.

Celem sprzedania powyższej realności odbędzie się dnia 28. stycznia 1897 o godzinie 11. przedpołudniem w biurze I. Departamentu Magistratu we Lwowie (Ratusz II. piątro) publiczna licytacja ofertowa.

Oferty mają być zaopatrzone w wadjum wynoszące 20% oflarowanej ceny kupna-sprzedaży.

O bliższych warunkach dowiedzieć się można w biurze I. Departamentu Magistratu w godzinach urzędowania.

Magistrat król. stoł. miasta.

We Lwowie, dnia 17. grudnia 1896.

Redaktor odpowiedzialny Adam Krajewski. — Papier z fabryki czerlańskiej. — Z Drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Franciszka Kattnera.